Nr. 17 (1061). Warszawa, dnia 14 (27) Kwietnia 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

NOWA KONSTYTUCYA.

Dnia 19 b. m., w 40-tą rocznicę wyjścia wojsk tureckich z Białogrodu, odbyło się z wielką uroczystością w stolicy Serbii ogłoszenie nowej konstytucyi; z mniejszą daleko, zgoła w ciszy, jakby na ustroniu władzy, dokonano jej opracowania, i to z własnej pobudki króla. Nie wiadomo, czy skupczyna, choćby w swym zwykłym tylko składzie, będzie miała sobie przedstawioną nową kartę do wyciśnięcia na niej piętna własnej uchwały, i czy król, który postanowił zrobić rzecz dobrą, aby ją zrobić już zupełnie dobrze, pragnie ją niejako uprzedmiotowić, z pod panowania woli własnej wyjąć i uczynić rzeczywiście narodową, a nie oktrojowaną. Kiedy Milan, w widokach już postanowionej abdykacyi, w końcu r. 1888, podejmował przekształcenie konstytucyi dawniejszej, jeszcze z r. 1861, zwołał wielką z pół tysiąca ludzi skupczynę i tego to zgromadzenia uchwała nadała nowemu wówczas porządkowi prawnemu byt, moc i powagę. Król Aleksander obrał inną drogę — praktyczniejszą, lepszą, zapobiegającą starciom, zwłokom, a może i niezgodzie, któraby wszystkie zamysły rozwiać mogła. Konstytucya nowa obyła się bez skupczyny i bez skupczyny też jest, a o ile główne zasady dotychczasowej w pamięci się utrzymały, w porównaniu z niemi całość norm nowych jest wyższą, głównie w większym i głębszym udziale narodu w rządzie i lepiej zabezpieczonych prawach jednostek i grup społecznych. Na teraz ma się już wszystko, czego od konstytucyi wymagać można, zwłaszcza gdy się jest Serbem, gdy trzeba prawo na papierze zamienić na prawo w życiu. Nie konstytucya, nie jej litera żyć ma, ale ludzie; od ludzi też zależy przyszłość konstytucyonalizmu serbskiego, który potrzebuje dopiero się narodzić, wejść w krew, urobić w obyczaj, aby w nim i przez niego konstytucya zaloty swoje wykazać mogła. *Measures not men* — wołali Anglicy w w. XVIII. Francuzi odparli to hasło swojem: Ludzi nie instytucyi! — I jedni i drudzy mieli słuszność: ludzie potrzebują instytucyi; instytucye potrzebują ludzi. Kto wie, czy na świecie nie łatwiej o pierwsze, niż o drugich...

Wbrew zapowiedziom dziedzictwo tronu utrzymuje się w liniach męzkich, głównej i pobocznych, dopiero po wygaśnięciu mężczyzn przyjdzie do władzy kobieta, przedtem może być tylko regentką przy własnym synu. Pełnoletność zaczyna się z rozpoczętym 19-ym rokiem życia. Król, obejmując władzę, przysięga strzedz niepodległości i całości Serbii, panować w duchu konstytucyi, nie tykać praw narodu i w całem postępowaniu swojem mieć tylko dobro jego na celu. Panującą religią jest wschodnia, ale wszystkie inne mają nieograniczoną swobodę. Równość wobec prawa wyłącza wszelkie tytuły i zaszczyty rodowe: nie będzie w Serbii arystokracyi, nie będzie nawet szlachty. Tylko na gorącym uczynku pochwycony traci odrazu swobodę osobistą; każdy inny musi mieć sobie przedstawiony rozkaz sądowy najpóźniej w ciągu 24 godzin. Uwięzionemu służy prawo zaskarżenia rozkazu do wyższej instancyi; jeśli z niego nie skorzysta w ciągu 3 dni, sam trybunał w 48 godzin rozstrzygnie o dalszem zatrzymaniu. I wtedy jeszcze uwięziony odwołać się może do sądu kasacyjnego. Kara śmierci grozi tylko za mord rozmyślny, zamach na króla lub którego z Obrenowiczów, wreszcie w wypadkach sprawiedliwości wojskowej. Jak osoby Serba, tak mieszkania jego bez rozkazu sądowego tknąć nie wolno. Myśl ma taką swobodę, że nawet prawodawca nie może nigdy ustanowić cenzury. Cudzoziemcy za przestępstwa polityczne u siebie spełnione nie będą nigdy wydawani obcym rządom. — Władzę prawodawczą sprawuje król razem z przedstawicielami narodu, rozdzielonymi na dwie izby: skupczynę i senat. Oryginalnym jest w Serbii dzień stały wyborów do obu tych ciał: do skupczyny 21 maja, do senatu 8 września, rokrocznie, chociaż mandat jest czteroletni. Posiedzenia zaczynają się d. 1 października a odbywają się w stolicy kraju. Izby są nietykalne; wojsko lub policya może wkroczyć tylko na żądanie prezydyum. Do prawomocności uchwał potrzebna jest obecność połowy ogólnej liczby członków. Posłowie otrzymują 15 denarów dziennie. Skupczyna składa się ze 130, senat z 51 członków. Wybory są tajne i bezpośrednie. W każ-

dym okręgu musi być przynajmniej jeden kandydat ze stopniem uniwersyteckim. Sprawdzeniem wyborów zajmują się sądy pierwszej instancyi. Wyborcą posła jest każdy Serb, mający 21 lat skończonych i opłacający 15 denarów podatku bezpośredniego; wyborcą senatora każdy pełnoletni, opodatkowany 45 denarami. Wojsko w służbie nie ma praw wyborczych, ale mają je urzędnicy. Posłem może być każdy 30-letni, umiejący czytać i pisać, mieszkający w kraju i płacący 60 denarów podatku, jeżeli zaś jest urzędnikiem lub ma stopień naukowy — tylko 30. Na senatora obrać można tylko tego, kto ma lat 40 i składa państwu 300 denarów w podatkach. Tylko zawody wyzwolone i uniwersytet dają prawo bierne wyboru na posła, jeśli kandydat jest urzędnikiem państwowym. Nie może być wybranym ani duchowny, ani też zwierzchnik gminy. Nie wolno też wejść do senatu, ani do skupczyny żadnemu ministrowi z prawem głosu. Senatorów wybieranych jest 18 z mandatem sześcioletnim; król mianuje od siebie 30; trzech ma krzesła wirylne: następca tronu, metropolita białogrodzki i biskup Niszu. Generał i duchowny mogą być senatorami. Senat jest sądem sejmowym na ministrów: skupczyna ich oskarża, senat sądzi. Król nie może rozwiązać senatu. Inicyatywa prawodawcza należy i do króla i do Izb. Projekty rządowe muszą być pierwej posyłane do skupczyny, zanim się dostaną do senatu.

Artykuł zasadniczy czyni z nowej konstytucyi jakby własność narodową, stanowi bowiem, że bez woli dwu trzecich ogólnej liczby członków obu Izb ani jej znosić, ani nawet zmieniać nie wolno.

IMPERYALIZM.

W chwili obecnej Niemcy, Ameryka i Anglia mają stoczyć otwarcie decydującą bitwę o „najświętsze dobra tego świata," o rynki. Dziś zajmiemy się jednym z tych rycerzy i zbroją, którą mu sprawił „dobrodziej nędzarzy," Chamberlain. Mamy tu na myśli imperyalizm, czyli ruch skierowany ku ściśnieniu węzłów pomiędzy Anglią a jej koloniami w celu powstrzymania pochodu tryumfalnego Niemiec po rynku wszechświatowym. Przyjrzyjmy się wywodowi i istocie tych olbrzymich projektów.

Jak to powszechnie wiadomo, Anglia traktowała kolonie swe po macoszemu i wyzyskiwała je. W początku drugiej połowy XIX stulecia zaszła w tem brutalnem postępowaniu zmiana na lepsze. Zasadę wolnego handlu obwieszczono w Synaju angielskim jako aksyomat niewymagający dowodzenia. Kolonie same we własnym interesie ukorzą się przed urokiem wolnego handlu. Niestety, kolonie puszczone samopas, zabłąkały się, a nawet odpłaciły metropolii niewdzięcznością, gdyż niekiedy miały czelność drogą ulg taryfowych oddawać pierwszeństwo wyrobom obcych krajów przed wyrobami swej matki. Szczególnie Kanada i Australia okazały się na tym punkcie dziećmi zwyrodniałemi. Bolało to ogromnie „królowę mórz," ale zamiast rozdzierać szaty lub mścić się, dumna pani obdarzała pogardą swe kolonie, zgodnie ze słynnemi słowami Cobbeta: „Kto odważy się twierdzić, iż Anglik nie ma prawa pogardzać wszystkimi narodami ziemi? Co się tyczy mnie, to pogardzam nimi z głębi serca." Nic prawdopodobnie nie wytrąciłoby wspaniałej matrony ze stoickiej równowagi, gdyby nie zaczęły dochodzić jej uszu niepokojące wiadomości. Podobno jasnowłosi krewniacy z barbarzyńskiego lądu europejskiego psują jej interesy. Nie zdobyli się oni na to, aby z Biblią w jednej ręce i butelką gorzałki w drugiej szerzyć chrześciaństwo, ale wysyłają za to przebiegłych agentów, którzy zniżają się do poziomu gustu krajowców Ameryki i Azyi, uczą się języka i studyują obyczaje krajowe, a głównie sprzedają bajecznie tanio. Konsulowie stwierdzili te wiadomości, opłakując w swych sprawozdaniach jako bezpowrotnie minione te czasy, kiedy fabrykanci Lancashire'u, wydymając brzuchy, chełpili się, iż liczą swe dywidendy na tysiące!

Ci jasnowłosi kuzynowie, których zapewniano ciągle, iż są rasą niższą, dziką, znosili wszystkie upodobania i szturchańce, a z czasem opanowali rynek w samej Anglii. Horoskopy statystyczne pogorszały się wskutek tego z każdym rokiem dla Anglii, a polepszały dla Niemiec. Wywóz W. Brytanii wynosił w 1882 r. 4,9 miliardów marek, w 1898 zaś 4,7 miliardów. Podczas gdy wywóz zmniejszył się o 0,2 miliarda, to wwóz wzrósł w przeciągu tego samego okresu o 1,2 miliardów. W okresie 1854—8 r. roczny wywóz angielski wynosił 131 milionów marek, w 1879—83 podskoczył do 288 mil., w 1884—8 spadł do 283, a w ostatnich latach podniósł się zaledwie do poprzedniego poziomu 288 milionów marek.

Bólem przejęła pyszną panią wiadomość, iż Niemcy trzecią część swego wywozu, a więc około miliarda marek w towarach zbywają w Anglii i jej koloniach. Tu dopiero dumna „królowa mórz" przypomniała sobie o swych „niewdzięcznych" dzieciach i zwróciła się do nich z zapytaniem, czyby też nie chciały zamiast prowadzić w tych tak ciężkich czasach smutne życie, przytulić się do kojącego łona matki i w ten sposób utworzyć wielkiej rodziny, stawiającej opór wszelkim przeciwieństwom losu? Zresztą dzieci same już poprzednio kilkakrotnie wyciągały ręce do matki, chcąc ją przeprosić, ale królowa o pogodzeniu się wtedy jeszcze słyszeć nie chciała. W ósmym dziesiątku lat XIX stulecia, kiedy ceny produktów rolnych uległy silnej zniżce, dały się słyszeć w koloniach angielskich głosy, podnoszące korzyści zobopólnej wymiany produktów pomiędzy Anglią a jej koloniami: tamta wysyłałaby towary przemysłowe, otrzymując wzamian artykuły rolne. W ten sposób Anglia mogłaby się pozbyć stosunków

Z Pieśni Dorohowickich, cykl „Ludzie."

POGRZEB.

A po ziemi żyznym łanie plenią się piołuny,
A na szkarłat życia jasny dzielą się całuny,
A gdzie stąpisz — nurt przed tobą — łez i krwi bezedno:
Zedziobały czarne kruki starą główkę biedną!
A padały z każdej strony ciosy — lik ich mnogi:
A cios pierwszy — ślepa siła — to losu bieg wrogi;
Och a drugi—to cios czasu, który dęby wali;
Och—a trzeci—a najcięższy—od tych, co kochali,...
I ta niemoc, co krew z żył ssie, aż lica wybladną:
Zadziobały czarne kruki starą główkę biedną...
Raz ostatni na poddaszach, wpośród świec jarzących,
Legła cicho w swoim domu niby w snach dziecięcych;
Tak pogodna, uśmiechnięta, — tylko jakaś strojna,
Tylko jakaś ją oblekła powaga dostojna;
Bo kto wejdzie z powitaniem — na kolana pada—
I na zżółkłych jak wosk rękach pocałunek składa...
Dosyć tobie trudów, pani, domierzona miara;
Dosyć czuwać nad swem gniazdem, jak orlica stara:
Dosyć tobie mierzyć chmury orlemi oczyma;
Teraz idziesz na pokoje, gdzie burz i walk niema.
A chodziły twoje nogi od świtu do zmroku;
Teraz — choćby dom podpalić — nie uczynisz kroku;
Pracowały ręce twoje długi dzień życiowy;
Teraz — choćby dziecku swemu — nie pogładzisz głowy.
Nie mijały ciebie gromy, ból serce rwał z łona:
Teraz idzie odpoczynek, cisza nieskończona.
Przypadałaś na mogiłach, jak smętna zazula:
Teraz idziesz w ziemię czarną, co wszystkich przytula...
Jak dziedziczka oto siędziesz pomiędzy swojemi —
Wpośród trumien swoich dzieci na trzech łokciach ziemi;
I dom dla cię z drogiej sosny zdobią srebrne ćwieki;
Tylko wrota w nim zamknięte — na wieki — na wieki...

* *

Hej wy konie, wy robocze, trudów towarzysze,
Dziś odwieźcie swoją panią na wieczyste cisze.
Wy od pługa, wy od brony — nie cuganty dumne,
Wam—roboczym— robotnicy przystało wieźć trumnę.
Wypiętrzyli, wystroili na saniach wzwyż mary:
Będzie jechać jak w tryumfie po boju wódz stary.
Ot już niosą — płynie trumna nad głowami rzeszy —
Tyle ramion wyciągniętych na usługi spieszy;
Nie przygrywa jej orkiestra głośnemi fanfary,
Wiedzie kondukt z wielkim krzyżem zagrodowiec stary;
Odkrył głowę swą poważną, zawiódł pieśń grobową,
A przez śniegiem kryte sady pieśń leci echowo.
A nie śpieszcież! a powoli wjeżdżajcie w te wrota,
W które ongi weszło dziewczę jak królewna złota,
Kiedy przywiódł ją małżonek z ślubnego kobierca,
Może skrzypną stare wrota, jakby jękiem serca?
Może klony jej staraniem sadzone dokoła
Dziś pochylą ku tej trumnie śniegiem siwe czoła?
Niech pies wyciem, ptak świegotem, bydło żegna rykiem,
Tym roboczej wsi znajomym, rodzonym językiem.
A zwracajcież z bramy w prawo ku dziedzicznej włości,
Gdzie wzywają kmiecie siwi raz ostatni w gości.
Starzy kmiecie, dziś sąsiedzi — ongi jej poddani —
Raz ostatni się pokłonią odchodzącej pani.
Idą, idą — świece płoną, proste pieśni płyną,
Rozpływają się ku lasom śniegową równiną.
Idą groblą, idą mostem, przez łąki, przez pola,
Gdzie wodziła zmarłą praca, dola i niedola,
Wężem kondukt się wydłuża na gościniec wązki,
Cóż tam? czyżby na śnieg stadem spadły szare gąski?
Coś mży w dali, coś się rusza, coś jak pszczoła brzęczy;
To pod wioską dziatwa cała w zimnym śniegu klęczy:

z obcymi narodami. Z tej utopii wyklół się projekt bardziej namacalny. Wmyśl jego towary, pochodzące z cesarstwa brytańskiego, powinny napotykać na całym jego ogromnym obszarze mniejsze trudności celne, niż wytwory narodów nienależących do rodziny brytańskiej. Jeszcze dalej poszedł Hofmeyer, słynny prezydent związku Afrykanderów, proponując, ażeby popierwsze wszystkie części składowe cesarstwa zachowały swe dotychczasowe barycry celne, pobierając natomiast od towarów obcych opłatę dodatkową i powtóre, ażeby fundusz powstały tą drogą użyto na zwiększenie marynarki wojennej cesarstwa. Konferencya, zwołana przez angielskiego sekretarza stanu, Stanhope'a, przyklasnęła tej propozycyi, znajdując jednak, iż towary obcych intruzów należy obciążyć daniną dodatkową 5%! Gladstone, nieprzychylnie usposobiony dla imperyalizmu już ze względu na to, iż ten lekceważył jego pupilka — handel wolny, o powyższym projekcie słyszeć nie chciał. Salisbury również nie nadawał poważnego znaczenia, jako mrzonce przeciwnej zasadom wolnego handlu i dopiero w r. 1895 minister kolonij, Józef Chamberlain, zaopiekował się podrzutkiem bezdomnym. Zbytecznem chyba jest przedstawiać tu czytelnikowi „Dobrodzieja Nędzarzy," którego nazwisko jest organicznie związane ze sromotną wojną afrykańską, prowadzoną obecnie przez Anglików. Chamberlain pierwotnie wystąpił na scenę polityczną z bardzo materyalnemi przekonaniami. Z biegiem czasu jednak „trzeźwieje" i podczas podróży do Kanady po raz pierwszy rodzi się w nim idea imperyalizmu. W r. 1896 przedstawia on w mowie światu londyńskiemu swój pomysł. „Możemy pokusić się — mówi on — o powołanie do życia wspólnych zobowiązań i wspólnych interesów. Jakież jest nasze największe zobowiązanie? Obrona cesarstwa (Imperial Defence). Jakiż jest nasz najważniejszy interes? Handel państwowy. Obydwie te rzeczy są z sobą połączone... Obrona państwa jest przeważnie kwestyą pieniężną, a zagadnienia pieniężne zależą od środków skarbowych i handlowych, które trzeba wykonać." W 1897 r. zasyła on podczas mowy wygłoszonej w Kanadzie miłosne westchnienie ku Stanom Zjednoczonym. „Podczas mojej podróży po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie nasunęła mi się myśl o wielkości i powadze, przysługujących na mocy przeznaczenia rasie anglosaskiej. Jest to owa dumna i odważna rasa, której właściwości nie zdoła zatrzeć żadna różnica klimatu i warunków życiowych i która jest powołaną stać się panującą w historyi cywilizacyi... Uważałbym nasz patryotyzm za ciasny i nikły, gdyby nie obejmował również Większej Brytanii po tamtej stronie Oceanu, owe młode i potężne narodowości, które rozniosły po kuli ziemskiej znajomość języka angielskiego i miłość angielską do wolności oraz prawa; obdarzany zaś temi samemi uczuciami, nie mogę żadną miarą uważać Stanów Zjednoczonych jako narodowości nam obcej. Bogaty kuzyn z zamorza zbył milczeniem te zalecanki. Za to odezwały się kolonie, do których też przeważnie się zdrzył się Chamberlain. „Korzyść (ze związku) byłaby nietylko po naszej stronie.... Bezwarunkowo będzie lepiej pozostać mile widzianym towarzyszem w British Empire, niż spaść w osamotnieniu i odosobnieniu do poziomu narodowości piątego stopnia" — woła Chamberlain, przyciskając do łona kolonie. Cel jego polega na utworzeniu początkowo związku celnego, a z tego ostatniego kiedyś powinna, zdaniem Chamberlaina, powstać nowa wielka jednostka państwowa, podobnie jak to było w swoim czasie z niemieckim Związkiem celnym. Każda kolonia miałaby prawo szykanować podług swego widzimisię obce towary wygórowanemi cłami, za co metropolia przez wdzięczność ocliłaby co niemiara obcokrajowe zboże, mięso i wełnę. W tej oto obręczy i szacie imperyalistycznej—mówi szczerze Chamberlain — Anglia ma kroczyć ku nowej świetlanej przyszłości, ku okresowi wszechwładnego zapanowania rasy anglo-saskiej nad pozostałemi — w oczach Anglików barbarzyńskiemi plemionami kuli ziemskiej.

Tak przedstawia się zarys rynsztunku, w którym Anglia ma wystąpić do boju o utrzymanie starych rynków i podbicie nowych. Nie naszą rzeczą jest tu rozpatrywać skutki polityczne i ekonomiczne, jakie pociągnąłby za sobą fakt wprawienia nowego garnituru zębów starzojącej się Anglii. Pomijając, iż tymczasowo cały projekt jest jeszcze zamkiem na lodzie, musimy zaznaczyć, że nad samym Albionem rozlegają się głosy, co prawda, pojedyńcze i odosobnione, potępiające wszakże gorąco imperyalizm. Tak np. w *Westminster Review* wystąpił jakiś pseudonim zawzięcie przeciwko polityce opartej na zasadzie: „siła idzie przed prawem." Polityka imperyalistyczna Anglii jest, zdaniem owego incognito, szeregiem zbrodni i błędów. W Chinach Anglia zdemoralizowała ludność rozpowszechnianiem opium, gwoli spekulacyi garstki brudnych geszefciarzy. Z Indyj ssano krew, dopóki nie doprowadzono ich do stanu zupełnego wycieńczenia. W Afryce wzniesiono hekatomby trupów ludzkich, a Irlandyę dojono bez skrupułów niby krowę rasową. Niechaj Anglia pozostawi kolonie własnemu losowi, a za to zajmie się gorliwie swemi sprawami domowemi, przez co posłuży innym państwom za przykład moralnej potęgi i sprawiedliwości.

H. Forszteter.

Tydzień polityczny. Minister spraw zagranicznych Francyi, Delcasse, d. 18 b. m. wyjechał do Petersburga; przybył tam 22-go, zabawić miał do 27-go. Poseł Montebello w dniu przyjazdu urządził obiad. Waldeck-Rousseau miał oświadczyć jednemu z dzienników większych, że celem podróży jest stwierdzenie serdeczności, której w ostatnich czasach lekkie nieporozumienia zamącić nie zdołały. Nota rozesłana dziennikom paryskim nazywa podróż dobitnym wyrazem przymierza, które czas uświęca i wzmacnia; odwiedziny przyczynią się do utrwalenia pokoju, zabezpieczając przytem interesa obu narodów zaprzyjaźnionych i sprzymierzonych. Dzienniki niemieckie wątpią o postanowieniach jakichkolwiek w sprawach większych; francuskie wskazują jako przedmiot narad nawet sprawę macedońską, tj. bulgarską. Oczywiście o sprawie chińskiej i chińsko-mandżurskiej wątpić nie można, że je oba rządy pomiędzy sobą ułożą.

A we wrotach strojnych w świerki stoją starcy białe,
Rowieśnego pokolenia szczyty pozostałe;
Jak witali chlebem solą na mężowskim progu—
Dziś oddają zwłoki zmarłym, i ziemi, i Bogu...
„Wyszliby my z chorągwiami, krzyżeby pobrali
I u krańca twojej niwy ciebie pożegnali;
I zagraliby w kapliczki cmentarnianej dzwony
Żegnalnymi, znajomymi, serdecznymi tony...
Tyle potu w pracy wspólnej z czół nam na łan ściekło...
Więc idź tylko z tym pokłonem, z modłą naszą rzewną,
A przeżegnaj dobrą ręką twą wioskę pokrewną;
Wybacz złe i przyjmij wzajem uraz odpuszczenie —
Idź do Boga w światłość wieczną, w wieczne odpocznienie."

*

Idą, idą ku wzgórkowi, gdzie pod krzyżów strażą
W snach za życia niedośnionych zmarli cicho marzą.
Już gotowy dół głęboki — ksiądz go święci wodą, —
A tu kondukt tak ostrożnie, pomalutku wiodą,
Jakby chcieli z drogim gościem nacieszyć się dłużej,
Pną się w górę coraz wolniej do kresu podróży...
Rzekłbyś — więzy żelaznymi spętane ich nogi...
Aż stanęli — na ramiona biorą ciężar drogi,
Jak na wstęgach stawią trumnę na śnieżystem płótnie —
I spuścili w ziemię czarną — och — a bezpowrotnie!..
Oj ty piasku, ciężki piasku, czemu z taką mocą
Twoje, mrozem ścięte, gruzy w domowinę grzmocą?
Kto wie, może w martwem ciele jest nerw jakiś jeszcze,
Niedomarły, którym wstrząsną straszne męki dreszcze?
Och—lżej pono twoje ciosy biją w trumien wieka,
Niż ich odgłos słuch uderza bliskiego człowieka!
Tak grzmi, huczy, tak świdruje, że aż w mózg się wwierci
I nie zgłuchnie chyba z życiem w odpoczynku śmierci.
Sypią, sypią ziemię — żwawo pracuje gromada,
Domowina, jak topielec, gdzieś w bezdeń zapada;
Choćby pękło czyjeś serce — nikt jej nie dobędzie.
Wypełniła się już jama po same krawędzie,
I mogiłka usypana i pod straż ją bierze
Stary krzyżak, co rodziny mogilniska strzeże,
I cmentarna płaczka — biała brzoza długowłosa,
I te zimne, niezbłagane, sfinksowe niebiosa....

* * *

Żegnajże nas, żegnaj panu, jak na cię przystało;
Słodkim miodem, miłym chlebem, żegnaj kucią białą *);
Niech drużynie, co ci piasek w wiernej służbie sypie,
Podziękujesz dobrem sercem przy żałobnej stypie;
Niech zaduszna pieśń „żałobny stół" jeszcze uświęci,
Nim odejdziesz bladym cieniem w otchłań niepamięci...

*

Zasypali. Milkną modły, zamierają echa —
A z niebiosów słońce jasne ziemi się uśmiecha,
Brylantowych skier miliony w dal po śniegach nieci,
A koń zięby w lot z powrotem niby strzała leci;
Lecz już wiosna pachnie w wietrze, co ten z za mórz wionie,
Wnet skowronek pieśnią strzeli w lazurowe tonie.
Fala życia tak potężnie dokoła się wzdyma,
Dla czółenka rozbitego rzeka fal nie wstrzyma;
Jeszcze jęki nie przebrzmiały na rzecznem korycie —
Mknie łódź nowa, a świat cały woła: witaj życie!

* *

Dobrzy ludzie się rozchodzą do domów, do rodzin,
I nic w biegu nie zmieniło ich zwyczajnych godzin;
Jeszcze oczy z łez nie oschły, a już w myśli troska:
Chleb powszedni zdobyć muszą i ten dwór i wioska...
Tylko śpiewak jęknął na progu sierocego domu,
Że już w świecie niepotrzebny nikomu — nikomu.
I po izbach płyną echem straszniejsze od gromu
Słowa ciche, śmierci równe: nikomu — nikomu...

Adam M—ski.

*) Kasza jęczmienna.

Posłowie w Pekinie oznaczyli wysokość strat poniesionych na 450 milionów taelów — okrągło 2 miliardy 700 milionów fr., czyli dwa razy więcej prawie, niż określano *maximum* żądań dotychczas.

Wielką wrzawę w Austryi wywołało przyjęcie przez arcyks. Franciszka Ferdynanda d'Este, domniemanego następcy tronu, przewodnictwa honorowego w związku katolików szkolnym. Arcyksiążę niejako sam się narzucił; przyjmując zaszczyt, miał mowę polityczną, silnie potępiającą „Los von Rom" jako hasło wrogie monarchii. Wcale się nie pomylił, i właśnie dlatego na pierwszem posiedzeniu Izby po Wielkiejnocy, d. 18 b. m., *germanissimi* pod Schönererem uderzyli na trwogę. Herzog pozwolił sobie na niesłychaną swobodę słowa. Koerber odpowiedział, że czyn przyjęcia stoi po za obrębem wiedzy uprzedniej i odpowiedzialności rządu. Starali się *ultra*-Niemcy skompromitować cesarza, rozpuszczając pogłoskę o wezwaniu arcyksięcia do Burgu. *Correspondenz-Bureau* odpowiedziało zapewnieniem, że arcyksiążę przyjął prezesostwo z wiedzą i wolą cesarza. Mają tedy schönererczycy czego chcieli: cesarz się skompromitował.

D. 19 b. m. król Aleksander ogłosił nową konstytucyę dla Serbii. Opracowało ją po za skupczyną grono zaufanych: ma więc ten nowy akt przymierza między tronem a narodem charakter konstytucyi oktrojowanej, odwołalnej. Dotychczas obowiązywała konstytucya milanowska z r. 1888-9, którą znać było więcej na papierze, niż w życiu, jeśli rdzeniem wszelkiej konstytucyi ma być zabezpieczenie jednostki przeciw sile. Obecna jest lepszą od dawniejszej, ale czy będzie lepiej wykonywaną? Dogmatem rządu serbskiego było dotychczas dobieranie sobie skupczyny według woli; niedołęgą był minister spraw wewnętrznych, który nie wepchnął do skupczyny przeważającej większości rządowej. Nie bardzo też liczono się z poszanowaniem swobody osobistej, uważano ją za przesąd. Czy się to wszystko zmieni?

Rząd pruski posuwa się już do ostatecznych krańców. Naukę języka polskiego, którą wykładano w klasach niższych gimnazyalnych w Poznańskiem i w Chełmnie, zniósł, pozostawił ją tylko od sekundy rdzennie zmienioną. Jednocześnie w szkołach niższych zniesiono nauczanie religii w języku polskim. Oburzający proces dzieci szkolnych, prowadzony według zasady, że szpiegostwo jest obowiązkiem, a koleżeństwo niegodziwością — odsłania całą głąb namiętności zezwierzęconej, wszelkiej kulturze urągającej. Uwolnionego po 14 miesiącach p. Leitgebera poważono się nazajutrz nieledwie po wypuszczeniu badać, komu sprzedawał książki? Dyrektorowie gimnazyów zarzucili sieć na rodziny, na ogniska domowe; wydobywają z dzieci zeznania: kto bywa w domu, co się w nim mówi, robi, myśli i czuje? Własnego ojca i matkę dziecko denuncyować musi. Jest to walka eksterminacyi, dalszy ciąg czynów margrafa Gerona, tylko w formach, jakie daje państwo nowożytne—dla podbitych straszniejsze od germańskich hord średniowiecznych. P. Bülow przyrzekł i uroczyście wydzwonił zaniechanie prześladowań na poczcie: w rzeczywistości poczta listy po dawnemu przetrzymuje, przerzuca, gubi lub rozmyślnie opóźnione oddaje. P. Bülow jest wcale niezłym Bismarckiem.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

REFORMY SZKOLNE.

Mianowanie nowych sterników olbrzymiej nawy — ministeryum oświaty, i reskrypt Najwyższy, zalecający gruntowne reformy, wywołały w prasie rosyjskiej ogromne ożywienie. Zamieszczono w pismach nietylko artykuły i luźne uwagi, lecz niemal całe traktaty. Wogóle oczekiwanie reform w systemie uniwersytetów i szkół średnich, wywołało znamienny nastrój. Jak należy przeprowadzić reformę uniwersytetów? — To jest pytanie, które obecnie najbardziej zajmuje umysły. Chcąc wydobyć jakiekolwiek wskazówki na przyszłość, trzeba sięgnąć do przeszłości. W szóstem dziesięcioleciu wieku ubiegłego przedsięwzięto reformę ustawy uniwersyteckiej. Rewizyę tej ustawy, zwyczajem dawnym, powierzono przedewszystkiem komisyi specyalistów, złożonej z rektorów i kuratorów. Projekt opracowany przez te siły zbiorowe, rozesłano do wszystkich uniwersytetów rosyjskich i do znanych uczonych zagranicznych. Powierzenie tak ważnej sprawy niewielkiej garstce ludzi, zdaniem *Now. Wrem.*, nie odpowiada całkowicie celowi, zwłaszcza w takich wypadkach, gdy chodzi o reformę gruntowną. „Pomimo wysokiego wykształcenia, pomimo najszerszych zapatrywań, człowiek nie może zupełnie pozbyć tych poglądów, z którymi się zżył i śród których wzrósł. Ludzie wykształceni w szkołach klasycznych nie mogą zrozumieć tych, którzy chcą zastąpić starożytną literaturę klasyczną — nowożytną, wprowadzić nauki przyrodnicze do szkół, itd. Profesorowie wychowani według dawnego systemu ustawy uniwersyteckiej i zżyci z nią, wątpliwe, czy zechcą jej się wyrzec o tyle, ażeby się zgodzić na reformę."

Na poparcie tych twierdzeń *Now. Wrem.* podaje wymowny przykład: „Komisya (w 6-tem dziesięcioleciu) wnioski swoje oparła na ustawie z r. 1835 i roztrząsała artykuł po artykule. Nadto, powodowała się ona przypuszczeniem, iż rząd może udzielić na udoskonalenie uniwersytetów tylko 500,000 rb. Pracująca dzisiaj komisya w sprawie reformy wykształcenia średniego przyjęła tę samą metodę. Ani społeczeństwo, ani prasa nie były powołane do tej pracy, tak żywotne sprawy szczerze obchodzące ogół, nie były poddane pod opinię powszechną."

Now. Wrem. radzi powoływać do takiej pracy różne grupy ludzi. Naprzód dać możność wyrażenia poglądów Akademii nauk, wszystkim wydziałom uniwersytetów, kuratorom okręgów naukowych, radom pedagogicznym gimnazyów i szkół realnych, wreszcie wszystkim towarzystwom naukowym. Pożądane byłoby także, zdaniem gazety, powołanie osób prywatnych i wiele, wiele różnych instytucyj.

Bardzo ciekawe poglądy na reformę uniwersytecką wypowiedział profesor Jarosz (również w *Now. Wrem.*). Radzi on przywrócić samorząd kolegiów profesorskich i poddać je władzy inspekcyi. Uniwersytety, zdaniem jego, powinny być instytucyami naukowemi, na które nie należy wkładać obowiązku obdarzania swoich słuchaczów dyplomami, dającymi prawa do służby państwowej. Organizacyę studentów prof. Jarosz uważa za sprawę drugorzędną, do której można przystąpić w przyszłości. Uniwersytety przedewszystkiem powinny wyrabiać zamiłowanie do nauki, dążność do oświaty, tj. do wytworzenia w społeczeństwie zasobów umysłowych i duchowych.

„Wychodząc z takiego stanowiska—mówi profesor Jarosz — widzielibyśmy jasno całą mylność usiłowań nadania uniwersytetowi np. organizacyi finansowej. Również byłoby mylną zasadą nadawanie uniwersytetowi charakteru instytucyi dobroczynnej. Gdyby np. narzucono uniwersytetom t. zw. „cele polityczne," straciłyby one odrazu właściwy charakter przybytków oświaty, a profesorowie nie byliby już sługami przy ołtarzu nauki, lecz staliby się tylko „ludźmi państwowymi," właściwie zaś urzędnikami politycznymi. Ich umysły i serca odsunęłyby się od tego, co jest „duszą" uniwersytetu i oddałyby się sprawom biurokratycznym, karyerze, polityce. Wobec tego społeczeństwo przestałoby traktować uniwersytet jako przybytek nauki, a w profesorach widziałoby tylko grupę „urzędników." Młodzież nie wstępowałaby do uniwersytetu z namaszczeniem, ale raczej z pewną ostrożnością. Stosunek studentów z profesorami nie przybrałby formy spółpracownictwa starszych i młodszych, lecz stworzyłby atmosferę zwierzchników do podwładnych.

Profesor Jarosz twierdzi, iż od czasu Piotra Wielkiego dotąd panuje ultrapraktyczny pogląd na naukę. Dlatego to do uniwersytetu wstępuje młodzież, zainteresowana nie nauką, lecz dyplomami. Lekceważą naukę, lecz dążą jedynie do zdobycia należnych im praw.

Nowoje Wr. rozwija i uzupełnia poglądy prof. Jarosza; nie wszystkie jednak podziela. Mianowicie twierdzi, że uniwersytety powinny dawać młodzieży przygotowanie do służby państwowej, która wymaga wzmocnienia jakościowego. Rdzeń złego, zdaniem pisma, tkwi nietylko w tem, że większość słuchaczów podąża do tych zakładów jedynie dla zdobycia dyplomów, lecz także i w tem, że liczba słuchaczów w jednym uniwersytecie dochodzi do trzech lub czterech tysięcy. Ażeby to nadmierne skupienie młodzieży usunąć, *Now. Wr.* doradza stworzenie większej liczby uniwersytetów. Po zwolnieniu tych zakładów od obowiązku udzielania dyplomów, dających prawa służby państwowej, tudzież usunąwszy po za obręb uniwersytetów komisye egzaminacyjne, należałoby dopuszczać studentów do egzaminu bez względu na liczbę lat, przebytych w uniwersytetach. „Wtedy ci, których celem jest tylko otrzymanie dyplomów dla służby państwowej, przebywaliby w uniwersytecie nie cztery lata, lecz tylko dwa lub trzy, jeżeliby w tym okresie mogli zdobyć niezbędną sumę wiedzy."

Russkij Listok z powodu zapowiedzianej reformy i zachęcania społeczeństwa do wspólnej pracy nad reformą szkolną, mówi: „Tylko udział żywiołu społecznego może reformę skierować na drogę właściwą. Reformy biurokratyczne nigdy nie przenikają do głębi życia, często nie dotykają go wcale."

Peterb. Wied. wydrukowały kilka artykułów, dowodzących, że swoboda akademicka jest niezbędnym warunkiem normalnego rozwoju życia uniwersyteckiego.

Prasa rosyjska zaczęła zasięgać opinii osób znakomitych, poważnych, w sprawie reformy uniwersyteckiej. Między innymi na uwagę zasługują niektóre poglądy profesora Mendelejewa. Twierdzi on, że młodzież za długo przebywa w gimnazyach, co jest przyczyną, że zajmuje się temi sprawami, które interesują studentów uniwersytetu. Nicią przewodnią zapatrywań prorofesora jest to, ażeby młodzież nie traciła zbyt dużo czasu na studya i nie dojrzewała zanadto w murach uniwersyteckich. Jako przykład podaje siebie. Gimnazyum skończył w piętnastym roku życia, uniwersytet w 21, a w 22 już objął wykłady. Następnie twierdzi, że klasycyzm nie pozwala młodzieży zbliżyć się do życia i poznać jego ważnych zadań. „Mojem zdaniem — powiada p. Mendelejew — klasycyzm rozwija w młodzieży skłonność do rozumowania i politykowania, rzeczy bezwarunkowo szkodliwych."

Listy z Wiednia.

20 kwietnia.

Nie ulega wątpliwości, że po wielu nieszczęśliwych próbach, w których dziejach era Badeniego oznaczona być może symbolem niedźwiedzia, monarchia austryacka natrafiła w p. Körberze na wcale zdolnego ekwilibrystę, którego czeka może karyera Taaffego. Nietylko

potrafił on zażegnać obstrukcyę natury narodowościowej, która tyle czasu szalała w parlamencie wiedeńskim, ale sprowadza w dalszym ciągu jego działalność i pretensye i pod względem czysto politycznym do granic, dla monarchii i rządu pożądanych, a w końcu stara się nadać swoim rządom i pewien polor zewnętrzny, którýby na pierwszy rzut oka świadczył o powrocie Austryi na szczęsne tory.

Prawpopodobnie w dokonaniu tego, zdawało się, tak niesłychanie trudnego dzieła pomogły głównie p. Korberowi — zimna krew i sceptycyzm względem opozycyjnych zapędów partyj, przedstawiających narodowości walczące. Powiedział on sobie, że nie taki dyabeł straszny, za jakiego we własnym interesie chciałby uchodzić, i przystąpił do niego bez drżenia, chociaż, żeby nie obrazić dyabła, ze wszelkimi pozorami respektu i nawet obawy przed jego siłą. Partye narodowościowe bowiem, zarówno Czesi jak Niemcy, a także Węgrzy, kiedy idzie o ugodę, chcą uchodzić za niezmiernie groźne, prześcigają się w objawach niezadowolenia ze związku państwowego z Austryą i gotowości do zerwania tego związku, ale to wszystko ma tylko na celu — wywarcie nacisku. W gruncie rzeczy każda z tych partyj — nawet pangermańska — nie stawia sobie na seryo przed oczy możliwości rozpadnięcia się monarchii habsburskiej, ani nawet odpadnięcia swej pojedyńczej narodowości od tej monarchii, i każda byłaby w ogromnym kłopocie, gdyby jakaś złośliwa wróżka, biorąc ją za gromkie słowa, urzeczywistniła okazywane na zewnątrz pragnienia i zarazem — odsłoniła nieuniknione takiego faktu szersze konsekwencye polityczne, a szczególnie — społeczne... Zarówno młodoczesi, jak butni „wszechniemcy," wyglądaliby wtedy, jak owa baba z obrazu Wiertza, której czarodziejka obiecała zaspokoić dwa życzenia: baba, nie biorąc tej obietnicy poważnie, zapragnęła, aby jej do nosa przyrosła kiełbasa, i nie pozostało jej już, jak tylko prosić, aby jej nieszczęsna kiełbasa od nosa odpadła... Czechom i Niemcom w gruncie rzeczy wcale nie mniej zależy na całości Austryi, niż Kołu polskiemu; ale krzykiem i groźbami sprawiają oni, że się z nimi więcej liczą—i drożej sprzedają swą lojalność. P. Körber ze swego stanowiska wytrawnego biurokraty zrozumiał widać bardzo dobrze to, co doskonale też przeniknęła i określiła opozycya nie-narodowościowa: a mianowicie, że cała historya partyj narodowościowych, zarówno wtedy, gdy grożą, jak wtedy, kiedy się łaszą, streszcza się tylko we współubieganiu się o łaskę i poparcie korony, która w Austryi jest jeszcze czynnikiem bardzo silnym i nieraz decydującym. Każda z tych partyj w chwili najgwałtowniejszej opozycyi gotowa jest zostać nazajutrz podporą tronu i państwa; żadna nie chce stracić na zawsze kwalifikacyi do rządzenia, to też p. Körber potrafił zgrupować i młodoczechów i Niemców postępowych koło swego zwycięskiego rydwanu w ten sposób, że Czechom w razie uporu dyskretnie grozi zwróceniem się o pomoc do Niemców, a Niemcom — utworzeniem większości z Czechami bez nich. Ani jedni, ani drudzy nie chcą być w mniejszości i wyglądać na zwyciężonych; i dlatego, podtrzymując rząd Körbera, zwyciężeni są faktycznie i jedni, i drudzy, bo wyrzekli się swoich żądań.

Drastyczny dowód wszystkiego, cośmy rzekli wyżej, złożyli młodoczesi zaraz na pierwszem posiedzeniu nowej, powielkanocnej sesyi parlamentu. Chodziło o bardzo poważne i charakterystyczne zajście, którego sprawcą był arcyksiążę Franciszek Ferdynand, domniemany następca tronu austryacko-węgierskiego. Arcyksiążę mianowicie objął publicznie i manifestacyjnie protektorat nad katolickiem stowarzyszeniem szkolnem i obiecał czynne poparcie swoje temu bojającemu i hałaśliwemu stowarzyszeniu, które dąży wszelkimi środkami do zniesienia teraźniejszej t. zw. szkoły świeckiej—tak zwanej, chociaż w niej wszystkie dzieci, nawet rodziców bezwyznaniowych, uczyć się muszą religii, tylko każde swojej (lub swoich przodków), innych zaś przedmiotów razem w jednym gmachu — a zastąpienia jej szkołą całkowicie wyznaniową, czyli taką, w której dzieci katolickie wolne byłyby nawet od zgubnego sąsiedztwa dzieci protestanckich i szczególnie żydowskich, bo dzieci każdego wyznania uczyłyby się osobno w szkołach, zostających pod wyraźną firmą i zarządem duchowieństwa. Przy tej sposobności przyszły cesarz w mowie, przeznaczonej do obwieszczenia, ostro napiętnował całe stronnictwo wszechniemieckie za jego hasło „Los von Rom!", które uznał za równoznaczne z „Los von Oesterreich!" Nawet nadzwyczaj umiarkowane organy liberalne wyraziły żal z tego powodu, że przyszły panujący, przyszły rozjemca stronnictw, z góry zajął tak wyraźne stanowisko nie przeciw wrogom całości Austryi — co byłoby zupełnie zrozumiałem — ale za klerykałami, przeciw obowiązującemu dzisiaj prawu państwowemu o organizacyi szkół, i że zapędził się w sposób tak niezgodny, jeśli nie z literą, to napewno z duchem konstytucyi. Pangermaniści wnieśli natychmiast w parlamencie interpelacyę w tej sprawie, w czem podtrzymywali ich niemieccy postępowcy i ludowcy, socyalni demokraci i radykali czescy; tym ostatnim brak jeszcze kilku lat, aby z kolei dojrzeli do „Regierungsfähigkeit." Ale dyskusya nawet nad wymijającą odpowiedzią prezesa ministrów nie była otwartą — dlatego, że głosowali przeciw temu wraz z całą prawicą i młodoczesi — ci młodoczesi, których jeszcze niedawno zwano „neo-husytami"!

Jeżeli partye, o których mowa, odłożyły na czas jakiś przynajmniej swe pretensye narodowościowe, to tem bardziej nie będą one przecie do rządu rościły, w imię zasad parlamentaryzmu, pretensyj czysto politycznych, które bywały dla nich zawsze tylko pretekstem do dochodzenia uraz natury narodowościowej. W sensacyjnym, bezimiennym, lecz przejrzystym „interviewie," p. Körber obiecał dzisiejszemu parlamentowi długie życie, jeżeli będzie się sprawował przykładnie, nie oddawał się obstrukcyi, nie wszczynał waśni politycznych, lecz poświęci się w spokoju i skupieniu ducha „sprawom ekonomicznym i kulturalnym," czyli polubownemu podziałowi między różne kraje monarchii rozmaitych łask i ulg w formie dróg wodnych, kolei, szkół itd.; bo nie trzeba myśleć, aby pod tą nazwą była rozumiana reforma warunków pracy górników i hutników, przeciw której jednocześnie w odnośnej komisyi wypowiada się delegat ministeryum rolnictwa... Chodzi tu nietylko o odłożenie na bok sporów czesko-niemieckich: chodzi też o milczące zatwierdzenie trzyletniego okresu rządów bez udziału parlamentu, o cichy bill indemnizacyi dla 58 rozporządzeń ministeryalnych, wydanych na podstawie § 14, między któremi były i takie — jak podniesienie podatku cukrowego — które wprost sprzeciwiały się woli parlamentu. P. Körber to milczące zatwierdzenie uzyskuje, czem zasłużył sobie tutaj na ironiczny (dla niego zapewne pochlebny) przydomek „Bismarcka austryackiego." Obrońcy konstytucyi, którzy mu dali ten przydomek, mają na myśli czteroletni zatarg Bismarcka z sejmem pruskim o kredyty na wojsko i wyrażają zdziwienie, że kiedy Bismarckowi zgodę i przebaczenie parlamentu i liberałów zapewniły dopiero zwycięskie kampanie przeciw Danii i Austryi, Körber otrzymuje je bez trudu, chociaż za bezparlamentarnych rządów „Austrya przegrała kampanię przeciw Węgrom" w sprawach ugodowych. Niema w tem, zdaniem naszem, nic dziwnego. W Austryi, jak każda narodowość chce należeć do parlamentarnej większości choćby za cenę faktycznej porażki swego programu, tak samo nie życie i kierunek ministeryum zależy od prawomocnego działania parlamentu, lecz pozwolenie na pozornie prawidłowe działanie parlamentu od woli ministeryum, czyli korony. Między parlamentem a ministeryum panuje zgoda, której wymaga konstytucya, tylko że nie ministeryum zgodziło się z parlamentem, lecz parlament z ministeryum. Widać stąd, jaka może być — przynajmniej z punktu widzenia konstytucyonalistów — wartość parlamentu centralnego w państwie wielojęzycznem, gdzie rywalizujące narodowości paraliżują się i równoważą nawzajem. Bo w tem leży ostatecznie źródło sukcesów p. Körbera.

Ten mąż opatrznościowy zapragnął za pomocą różnych zewnętrznych a efektownych znaków dać poznać światu, że w Austryi panuje spokój i kwitnie życie normalne. Cóż może lepiej o tem świadczyć nad zainaugurowanie wieku Augusta, nad wolne od wszelkich względów partyjnych popieranie i czczenie sztuk, nauk i rzemiosł? Ku osiągnięciu też tego efektu zmierza cały szereg rozporządzeń, w jednym prawie dniu wydanych. Na znak, że Austrya przodujе rozwojowi rzemiosł, ustanowiono nieznany dotąd nigdzie doktorat nauk technicznych. O opiece nad sztukami pięknemi świadczy ufundowana w Pradze z prywatnej szkatuły cesarskiej galerya obrazów i rzeźb „dla obu narodowości miłego memu sercu Królestwa Czeskiego," a odnośne rozporządzenie, wzywające Niemców i Czechów do „pokojowego współzawodnictwa" na tem polu, uświęca w ten sposób jednocześnie istnienie tego królestwa nie według ideałów czeskich, lecz jako habsburskiego kraju koronnego, i wyraża nadzieję, że fundacya ta przyczyni się do utrzymania spokoju wewnętrznego w państwie. Najefektowniejszą wreszcie jest nominacya ośmiu nowych dożywotnich członków Izby panów. Są to: Antoni Dworak, znakomity kompozytor czeski, autor „Rusałki," profesor konserwatoryum w Pradze; Emil Frida, profesor uniwersytetu czeskiego tamże, znany w świecie całym, jako znakomity poeta, Jarosław Vrchlicky; czterech profesorów uniwersytetu wiedeńskiego: Teodor Gomperz, filolog-filozof, w filozofii pozytywista, przyjaciel i zwolennik Milla, w polityce Niemiec i liberał, zwolennik równouprawnienia kobiet; Ernest Mach, matematyk-filozof, wróg konstrukcyj metafizycznych, obrońca narodowości niemieckiej w Czechach; Adolf Mussafia, Włoch - Dalmatyniec, wybitny filolog; ksiądz Herman Zschokke, teolog i semitolog, kapelan cesarski; jeden profesor uniwersytetu krakowskiego, dr. Stanisław Smolka; wreszcie rzeźbiarz, Kasper Zumbusch, profesor akademii sztuk pięknych, autor wielu stojących na ulicach Wiednia wyobrażeń różnych członków rodziny Habsburgów. Wszyscy chwalą te nominacye i winszują ich p. Körberowi. Bo rzeczywiście, dawno takich nie było! Żadnej myśli stronniczej; czyż p. Körber musi wpływać na ustosunkowanie stronnictw w Izbie panów, kiedy on jest w zgodzie ze wszystkiemi stronnictwami? Klerykalizm i liberalizm, w rzeczach religii przynajmniej — dość daleko posunięty; Niemcy, Czesi, Polacy i Włosi — wszyscy otrzymują oznakę jednoczesnej łaski; a do Izby panów wchodzą nie książęta i hrabiowie, lecz ludzie osobistej zasługi, synowie karczmarzy, jak Dworak np., sami profesorowie, najwybitniejsi — każdy w swoim zakresie — luminarze nauki, poezyi, rzeźby, muzyki, którzy temu schroni-

sku feodalizmu nadają charakter niemal nowożytny, zgodny z duchem czasu.

Szczęśliwa gwiazda p. Körbera sprawiła na dobitkę, że jednocześnie przypadł w Wiedniu międzynarodowy kongres antyalkoholiczny o zupełnie poważnym, szczerze społeczno-reformatorskim charakterze, o którym w następnych listach będą czytelnicy nasi mieli szczegółowe sprawozdanie. Austrya dawała gościnność przedstawicielom prądów ku odrodzeniu i wyleczeniu ludzkości całego cywilizowanego świata, a honorowym prezesem ich zgromadzenia był minister oświaty, dr. Hartel. P. Körber po francusku, z gestami tak uprzejmymi, na jakie stać go było, witał gości i w obliczu całego świata obiecywał ich humanitarnym usiłowaniom „szczere poparcie rządu austryackiego." Wprawdzie ktoś tam przebąknął, że właśnie w tych czasach rząd ten ma zamiar żądać od parlamentu podniesienia podatku od napojów, a więc zwiększenia dochodów swych z pijaństwa; ale to było po za salą kongresu. W sali posiedzeń—pięknej, wystawnej sali — efekt był osiągnięty... Aż nagle, na ostatniem posiedzeniu, wstaje jeden z delegatów szwajcarskich, dyrektor zakładu leczniczego, i wyraża przykre zdziwienie, że w Austryi, jak się w tej chwili dopiero dowiedział, nie wolno wcale rozdawać, ani rozprzedawać drogą kolportażu pism ani broszur, co jemu służy za skuteczną broń w walce z alkolizmem; na to prezes kongresu, konserwatysta i hofrat, prof. dr. Gruber, odpowiada szczerem wyrażeniem żalu, że „drobnostkowy duch policyjny prawodawstwa austryackiego dotychczas nie pozwolił na zniesienie zakazu kolportażu..."

Zdarzenie to było symbolicznem: złudzenie prysło, budzimy się... w Austryi!

K. Radosławski.

Z RUCHU KOBIECEGO WE FRANCYI.

Wystawa, jakkolwiek od kilku miesięcy zamknięta, nie przestaje jednak budzić wspomnień. Nie za późno więc chyba jeszcze wrócić do niej, by w kilku słowach zaznaczyć, jakim też był udział kobiet w tej wspaniałej encyklopedyi pracy i myśli ludzkiej.

Na ogólnej liście wystawców figurowało 2,600 kobiet. Cyfra to bynajmniej nie imponująca, gdybyśmy chcieli sądzić o rzeczywistym udziale kobiet w przemyśle, handlu, sztukach pięknych i naukach. W istocie zaś rzeczy znacznie większa część pracy kobiecej utonęła pod firmą męską — właściciela fabryki czy zakładu rękodzielniczego, tylko bardzo mała liczba potrafiła zdobyć sobie samodzielne stanowisko. Z powyższej ogólnej liczby wystawczyń 1,136 otrzymało większe lub mniejsze odznaczenia.

Nadmienić tu też należy, że kobiety wchodziły w skład *jury* niektórych działów; tak np. w dziale wychowania i nauczania 5 kobiet było członkami, w dziale rolnictwa — jedna, w dziale ozdoby mieszkań — dwie, w dziale tkactwa i odzieży— również dwie, w dziale ekonomii społecznej i hygieny — jedna.

Udział kobiet w każdym poszczególnym dziale był, rozumie się, bardzo różny; tak np. w dziale wychowawczo-naukowym 94 kobiet, sztuk pięknych 356, ekonomi społecznej i dobroczynności 105, tkactwa i odzieży 693, rolnictwa 162, ogrodnictwa 34, artykułów spożywczych 407, przemysłu dekoracyjnego 278, leśnictwa i rybołówstwa 26, przemysłu chemicznego 48, narzędzi i pomocy naukowo-artystycznych 93, wreszcie 147 kobiet przypada na pozostałe gałęzie przemysłu (bronzownictwo, zegarmistrzostwo, wyroby galanteryjne, kauczukowe, szczotkarskie, skórzane itp.). W dziale kolonii figurowało 16 kobiet, a tam, gdzie ich można było najmniej się spodziewać — w dziale wojskowości i marynarki — poważne miejsce zajmowały dwa potężne stowarzyszenia kobiece, mające za zadanie niesienie pomocy rannionym i chorym podczas wojny. Te zdobyły już dawno rozgłos, sympatyę tłumów i nader liczne medale. Nie każdemu wiadomo, że liczne zastępy kobiet pracują w fabrykach państwowych amunicyi, gdzie powierzają im pracę najdelikatniejszą, wymagającą największej dokładności.

Liczba nagród otrzymanych przez kobiety była pokaźną: 24 *grands prix*, 120 medali złotych, 264 srebrnych, 348 bronzowych, a ponad to niemała ilość wzmianek zaszczytnych. Nie mogą się przeto kobiety uskarżać, że je pominięto, trzeba tylko żałować tych w cieniu ukrytych pracownic, za których pracę znojną i artystyczne pomysły otrzymał nagrodę ich wyzyskiwacz-pryncypał.

Zaczyna wchodzić w życie jedno z postanowień kongresów feministycznych, dotyczące rozpowszechniania znajomości hygieny wśród kobiet. Z inicyatywy lekarek Gaboriau i Edwards-Pilliet powstało towarzystwo, noszące nazwę „Société de propagande pour l'enseignement de l'hygiène aux femmes" (Towarzystwo rozpowszechniania znajomości hygieny wśród kobiet), do którego zapisało się już sporo kobiet-lekarzy. Na przewodniczącą powołano panią Bequet de Vienne, wielce zasłużoną założycielkę stowarzyszenia „Société de l'allaitement maternel," mającego za zadanie pomoc pieniężną i materyalną, umożliwiającą matkom karmienie i wychowywanie swych niemowląt. Na członków honorowych zaproszono wybitne osobistości ze świata lekarskiego i pedagogicznego. Pierwszy odczyt o tem, jak unikać chorób, wygłosiła w małej wiosce dr. Edwards-Pilliet. Towarzystwo dążyć będzie z jednej strony do rozpowszechniania wiadomości z hygieny wśród kobiet wiejskich, które jak wszędzie, tak i we Francyi — hołdują jeszcze w znacznej mierze przesądom, a z drugiej — starać się będzie o to, aby w szkołach żeńskich zarówno elementarnych jak normalnych i w liceach rozszerzono program hygieny i wprowadzono różne zajęcia praktyczne, przygotowujące kobietę do inteligentnego spełniania obowiązków matki i wogóle wychowawczyni. W tym celu towarzystwo pragnie, aby w pobliżu szkół znajdowały się żłobki (crèches) wzorowo prowadzone, w których dziewczęta mogłyby się zaznajamiać praktycznie z hygieną niemowląt i drobnej dziatwy.

Będzie to istotnie wielką zasługą francuskich kobiet-lekarek, jeśli wytrwają w pracy, którą sobie za cel postawiły, a tem samem przyczynią się do zmniejszenia śmiertelności wśród dzieci.

Niemniej ważną jest umiejętność pielęgnowania chorych. Paryż posiada trzy bezpłatne szkoły pielęgniarstwa przy szpitalach, gdzie od wstępujących wymaganą jest jedynie znajomość czytania i pisania; ten niski poziom umysłowy jest przyczyną, iż pomimo doskonałych wykładów teoretycznych i codziennych zajęć praktycznych, szkoły te wytwarzają w przeciągu roku personel szpitalny niedostatecznie uzdolniony, tak iż pomimo dyplomu infirmerki, służbę szpitalną rozpoczynać należy od stopnia najniższego w jej hierarchii.

Bardzo wiele słuchaczek mają kursy pielęgniarstwa, urządzone staraniem stowarzyszenia „Union des Femmes de France"; celem ich jest głównie przygotowanie kobiet do niesienia pomocy rannionym i chorym podczas wojny, a zanim taka konieczność nastąpi — jednanie członków wśród słuchaczek, i tem samem pomnażanie funduszów towarzystwa. Brak więc było szkoły, gdzieby kobiety z pewnem wykształceniem mogły nauczyć się gruntownie pielęgniarstwa, dla którego w dzisiejszych czasach nie wystarcza już strój siostry miłosierdzia i większe lub mniejsze powołanie. Pielęgniarka musi mieć pojęcie bodaj ogólne o anatomii, musi znać wszelkiego rodzaju opatrunki, umieć obchodzić się z narzędziami chirurgicznemi, rozumieć doniosłość antyseptyki itp. Otóż brakowi temu zaradziła pani Alphen Salvador, zakładając przed rokiem prywatną szkołę pielęgniarstwa, przeznaczoną dla dziewcząt posiadających co najmniej t. zw. *brevet élementaire*, tj. świadectwo niższej nauczycielki. Z powodu dość wysokiej opłaty i braku reklamy, kandydatek zjawiło się niewiele; w świecie lekarskim jednak myśl pani Salvador znalazła szersze zainteresowanie i poparcie, ułatwiono jej przeniesienie owego zawiązku szkoły pielęgniarstwa do obszerniejszego lokalu i teraz można się spodziewać, że instytucya będzie pomyślnie się rozwijać. Do komitetu nadzorczego weszły znakomitości paryskiego świata lekarskiego, jak Reclus, Letulle, Broca, Jalaguier, Legrain; kierownictwo naukowe szkoły objął dr. Maurange. Wykłady teoretyczne obejmują anatomię, fizyologię, hygienę, medycynę ogólną, chirurgię ogólną, pielęgnowanie chorych na umyśle i nerwowych, położnic i noworodków, dyetetykę dziecięcą, wreszcie kurs obowiązków zawodowych infirmerki. Kierunek moralny nad szkołą powierzono pani Chénard. Nadto w czwartki odbywają się dla uczenic nader pouczające konferencye na temat moralny, prowadzone przez wybitnych pedagogów, specyalnie oddających się kwestyom etyki. Zajęcia praktyczne odbywają się w szpitalach miejskich, obecnie zaś pani Salvador założyła szpitalik przy szkole, ażeby każda z uczenic miała na swej wyłącznej opiece jedną chorą. Przyjmowane są tu kobiety pracujące, pierwszeństwo mają nauczycielki, dotknięte chorobami nieuleczalnemi. Z czasem, gdy środki się zwiększą, ilość łóżek, jak również ilość stypendyów dla uczenic będzie pomnożoną. Każda uczenica ma swój pokoik czysty i miły, w którym może przyjmować krewnych lub znajomych, do wspólnego zaś użytku jest salon, sala stołowa, czytelnia, oraz sala wykładowa, obszerna i jasna. Kurs trwa dwa lata, zatem z końcem bieżącego roku szkolnego zakład wyda pierwsze pielęgniarki prawdziwie wykwalifikowane; będą one mogły, do wyboru, albo pracować na własną rękę, albo też mieszkać w szkole, pobierać stałej pensyi 1,200 fr. rocznie i pielęgnować zarówno zamożnych jak i niezamożnych chorych, stosownie do tego, gdzie je zarząd wyśle.

Kobiety pracujące w handlu otrzymały nareszcie upragnione prawo t. zw. *loi des sieges*: odtąd w każdym sklepie ma się znajdować ilość krzeseł odpowiednia do liczby kobiet tam zajętych.

Prawo to, wniesione przed rokiem przez deputowanych Viviani'ego, Gautret'a i Berry'ego, a zatwierdzone ostatecznie zarówno przez Izbę deputowanych, jak i przez senat, obecnie stało się obowiązującem. Pierwsze przekroczenie prawa ze strony zwierzchników pociąga za sobą karę od 5 do 15 fr., następnie od 16 do 100. Na straży tego prawa stać mają inspektorzy i inspektorki. Prawo to ważne samo w sobie, ponieważ uwalnia nieszczęśliwe panny sklepowe od uciążliwego i szkodliwego dla zdrowia stania całodziennego, ma jeszcze i to znaczenie, że pieczę o zastosowaniu go powierza inspekcyi, od której dotychczas magazyny były wolne. Jest to więc pierwsza szczerba, przez którą zaświta może promień lepszej doli pracowników i pracownic handlowych; pozwala ona żywić nadzieję, że w bliskiej przyszłości i oni pozyskają to, co już zdobyli sobie dzięki syndykatom — robotnicy

a mianowicie sądy zawodowe rozjemcze (Conseils de prudhommes).

Inną zdobyczą kobiet jest prawo, dozwalające im brać udział w sądach zawodowych rozjemczych. Wnioskodawca, dep. Groussier, utrzymywał, że skoro kobieta zmuszoną jest pracować tak samo, jak mężczyzna, to powinna mieć równe z nim prawa, gdy chodzi o obronę jej interesów, zwłaszcza że jest wiele gałęzi przemysłu, w których niemal wyłącznie pracują kobiety, one więc tylko mogą wydawać sąd kompetentny w zatargach pomiędzy pracownicami a pracobiorcami.

Naturalnie nie zabrakło przeciwników projektowanej reformy, powstających jak zwykle w obronie domowego ogniska, które kobieta będzie opuszczała dla czynności sądowych. Nie potrafili jednak oni pozyskać dla siebie większości głosów; Izba deputowanych przyznała kobietom to prawo 376 głosami przeciw 161, co pozwala spodziewać się, iż w senacie nie napotka ono zbyt silnego oporu.

Studentki paryskie obchodziły uroczyście inauguracyę lokalu swego stowarzyszenia. Inicyatorką i duszą jego jest rodaczka nasza, panna G., która w roku zeszłym zdołała zgromadzić pewną liczbę studentek; brak środków jednak przeszkadzał z początku zawiązaniu się w stowarzyszenie. Szczęśliwym trafem zainteresowała się tą myślą pani Durand, redaktorka feministycznego dziennika *La Fronde*, i ofiarowała młodemu stowarzyszeniu lokal w Hôtel des sociétés savantes, biorąc jednocześnie na siebie odpowiedzialność za wszelkie wydatki w ciągu pierwszego roku istnienia. Celem stowarzyszenia jest zbliżenie studentek różnych wydziałów, wytworzenie stosunków przyjaznych, pomoc wzajemna zarówno moralna, jak i materyalna. Z czasem powstać ma biuro pracy dla niezamożnych studentek. Członkami mogą być nietylko studentki uniwersytetu, ale również uczenice szkół normalnych, szkoły sztuk pięknych i szkoły dekoracyjnej. Pierwszy odczyt w stowarzyszeniu studentek wygłosił Duclaux, dyrektor Instytutu Pasteura, znany ze swych przekonań wysoce humanitarnych i postępowych. W przemówieniu winszował serdecznie studentkom, że będą mogły korzystać ze wszystkich dodatnich stron stowarzyszania się, że wzajemna pomoc w pracy i przyjaźń koleżeńska osłodzą tęsknotę za domem rodzicielskim i dodadzą energii do zwalczenia przeciwności. W barwnym i żywym stylu przedstawił analogię komórek do społeczeństwa i zakończył podniosłym zwrotem, że marzy o innej ludzkości, lepszej, sprawiedliwszej i o tych czasach, gdy człowiek będzie silny ciałem i duchem, czynny i energiczny, swobodny i szczęśliwy....

Jedna z kobiet, przynoszących zaszczyt płci niewieściej, Klementyna Royer, doczekała się urzędowego odznaczenia orderem Legii honorowej. Na wezwanie grupy Bretończyków, zamieszkałych w Paryżu, wielu pospieszyło na bankiet, wydany ku uczczeniu sędziwej autorki. Klementyna Royer całe życie poświęciła pracy, nie szukając nigdzie czczej chwały, gardząc reklamą dziennikarską i łatwymi tryumfami, dając przykład niezwykłego wyrzeczenia się wszystkiego i niezrównanej wytrwałości. Urodzona na ziemi, w której panują wszechwładnie przesądy, w której władza kościelna jest niezachwianą potęgą—a taką jest Bretania—Klementyna poświęciła swe życie zwalczaniu tego wszystkiego, co krępuje postęp cywilizacyi i rozwój nauki, szerzenie myśli wolnej i niezależnej. Prace jej filozoficzne i ekonomiczne wysoko były cenione, ona pierwsza we Francyi przełożyła Darwina. Pomimo podeszłego wieku i zdrowia nadwątlonego pracą nieustanną i niedostatkiem, nie przestała jednak żywo interesować się każdym bieżącym wypadkiem politycznym czy społecznym, komentując go zawsze w sposób oryginalny i głęboki. Powodzenie niebywałe „Quo vadis“ nie uszło również jej uwagi, to też w artykule zatytułowanym „Les pieux mensonges d'un Polonais“ wykazała tendencyjne fałszowanie historyi, jakiego się dopuścił nasz katolicki pisarz.

Niepospolitą też postacią niewieścią była zmarła pani Quinet, wdowa po słynnym historyku Edgarze Quinet. Nader wykształcona, godną była towarzyszką swego męża, z którym natychmiast po ślubie poszła na długoletnie wygnanie. Od chwili owdowienia poświęciła się wyłącznie pielęgnowaniu kultu dla niego, z pietyzmem zajmowała się pośmiertnem wydawnictwem jego pism, sama zaś oddaną była pedagogice i w tej dziedzinie napisała między innemi „O prawdzie w wychowaniu.“ Stosownie do życzenia zmarłej, pogrzeb był wyłącznie cywilny, zwłoki zostały spalone, wieńców i przemówień nie było, a jednak liczny tłum osób zebrał się oddać hołd cichej zasłudze....

Iza Zielińska.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Złamane Koło.

Pamiętam dobrze, to zresztą niezbyt dawne czasy, kiedy liberalizm galicyjski (o radykalizmie nie było wtedy mowy) cierkał jak świerszcz za piecem — cienko i bojaźliwie, milknąc po lada postrachu. Pamiętam te czasy, kiedy w Krakowie nieboszczyk ksiądz Golian zburczał w mojej obecności na ulicy jakiegoś kleryka za to tylko, że ten przypatrywał się wystawionemu w szybie księgarskim portretowi głośnej fortepianistki, a przechodzący „doktor filozofii,“ Wł. Miłkowski, pocałował Sawanarolę krakowskiego w rękę. Pamiętam te czasy, kiedy za najradykalniejszego człowieka w Galicyi uchodził p. Tadeusz Romanowicz, który mnie, początkującemu i pragnącemu poznać go literatowi, wyłożył różnicę między konserwatystami a postępowcami na jakimś paragrafie ustawy drogowej, będącym kością niezgody dwu obozów. Toczyła wtedy *Nowa Reforma* zaciętą wojnę z *Czasem*, ale po każdem wystrzeleniu przez nią bomby, która przypominała babę wielkanocną, wpadał do redakcyi Asnyk i załamując ręce, wyrzucał swej artyleryi okrucieństwo w używaniu tak twardych pocisków, jak ciasto, napełnionych tak wybuchową materyą, jak rodzynki. Szemrali Galicyanie przeciwko samowoli i egoizmowi stańczyków, ale ile razy z tymi buntownikami zacząłem nieco głośniejszą rozmowę w miejscu publicznem, natychmiast przypominali mi krętogłowów, oglądając się na wszystkie strony w obawie, czy ktoś nas nie podsłuchuje. Pewien suplent (niższy nauczyciel gimnazyalny), który wielokrotnie złorzeczył „klice,“ nie chciał w ogrodzie spacerowym wziąć ode mnie numeru *Nowej Reformy*, który mu podałem dla przeczytania ciekawego artykułu. „Nużby kto *z nich* zobaczył — rzekł, tłomacząc się — straciłbym posadę.“ A ta posada przynosiła mu 400 zlr. pensyi! To też hr. Tarnowski, idąc przez Kraków, mógł doznawać tego uczucia, co Fiesco, że „całą Genuę niesie na swych ramionach.“

Lwów okazywał więcej niepodległości, ale nie więcej, niż jej okazuje służba, która robi zuchwałe miny zdala od swoich państwa. Tak było w Galicyi przed dwudziestu kilku laty.

A dziś?

Przyznać trzeba, że pierwszym piorunem, który nie miał tyle potęgi, ażeby starą budowlę strzaskać i spalić, ale miał dość blasku, ażeby jej mieszkańców oświecić, była książka Szczepanowskiego p. t. *Nędza w Galicyi*. Pomimo całej powierzchowności i paradoksalności oddziałała ona zbawiennie: wstrząsnęła śpiącymi umysłami i ukazała im widok ogólnego ubóstwa i płynącego zeń serwilizmu. Przyszły potem inne wpływy, przyszły fale ogólnoświatowych prądów, a nadewszystko dźwignęła się ta moc, która spoczywa wewnątrz każdego społeczeństwa, która posiada zawsze największą siłę przekonywającą i przetwarzającą, mianowicie logika i władza rozwoju życia. Wyzyskiwany i uciemiężony lud, wyczerpawszy ostatnią gorzką kroplę cierpliwości, zaczął upominać się o swoje dobro i swoje prawa, bądź bezpośrednio, bądź przez obrońców. I oto wzmógł się potężny ruch, którego skromne źródła może tkwią w pokładach gruntu, będącego polem walki między stańczykami a liberałami przed dwudziestu kilku laty, który jednakże swymi rozmiarami i natężeniem przerósł olbrzymio owe pierwsze drgnienia. I jeżeli ci, przeciw którym on się głównie zwraca, mają nadzieję opanować go groźnym lub czułym frazesem, dowodzą tem tylko, że ich psychologia, ich socyologia, ich polityka są mniej warte, niż trzy skóry, ściągnięte ze starych, zdechłych krów.

Ostatnim i może najwymowniejszym objawem reakcyi przeciwko rządowi stańczyków w Galicyi są gwałtowne szturmy opinii publicznej do nietykalnej twierdzy Koła polskiego w Wiedniu. Tłumne wiece, energiczne ich uchwały, bicie w bębny dziennikarskie z powodu jego opieszałości w zabiegach o upaństwowienie gimnazyum cieszyńskiego wywołują pozór, że dopiero ta sprawa rozjątrzyła społeczeństwo przeciwko jego przedstawicielom w parlamencie i że dopiero z niej wylały się potoki niechęci, które podmyły moralny grunt Koła. Jest to takie samo złudzenie, jakiemu ulegają chorzy na rozkład krwi, którzy skaleczywszy się przy obcinaniu paznokcia, drobnej rance przypisują rozwinięcie się w ich ciele gangreny. Powodzenie rozmaitych trybunów ludu, oddźwięk, jaki znalazły ich głosy w szerokich masach, śmiałe i nienawistne wykrzyki posłów chłopskich w wiedeńskiej Radzie państwa, wreszcie wybuchy oburzenia wśród inteligencyi — wszystko to nie są objawy powierzchowne, przypadkowe, odosobnione, lecz uderzenia głębokiego i szerokiego nurtu w łonie społeczeństwa przeciwko dotychczasowym jego kierownikom. Rzeczywiście Koło polskie, a raczej te żywioły, których ono jest wyrazicielem, oddawna zasłużyły sobie na ten potępiający wyrok, a skargi sterników tonącego okrętu na „intrygi,“ które miały go zgubić, są poprostu śmieszne. Jak najmocniejsze chuchania i westchnienia nie wytworzą wichru, tak najprzebieglejsze intrygi nie sprowadzą przewrotów politycznych. Tylko ludzie bardzo ograniczeni, zdziecinniali lub oślepieni samolubstwem, mogą osobistemi knowaniami tłomaczyć przełomy w stosunkach społecznych. Jeżeli więc Koło polskie dziś kruszy się i pada, to bynajmniej nie dlatego, że jeden, dwóch lub stu jego nieprzyjaciół popsuło mu drogę, lecz dlatego, że ono przestało rozumieć swój czas i swoje zadania. Jego członkowie w elegiach chwalą się, że zawsze nadstawiali piersi, ale nadstawiali dla otrzymania orderów. Cała ich wiara polityczna streszczała się w przykazaniach: bezwględny lojalizm — nienarażanie się rządowi — straż nad interesami większej własności—zdobywanie przywilejów klasowych itp. Co się przytem

działo z ludem, z jego mieniem, z pracą i szczęściem mas, z materyalnym dobrobytem kraju i jego oświatą, z tymi niezliczonymi tłumami, które uciekały przed nędzą za morze — to dla Koła były sprawy albo mało ważne, albo niedość pilne. Rząd austryacki, ściślej mówiąc, rząd Niemców, wiedział, czem Galicyan kupić można, więc sypał szczodrze „naturalnym kierownikom narodu“ tytuły, oznaki honorowe, urzędy, słowem szychy, świecące blaszki i pawie pióra, któremi przystrajali się, a które nie dawały chleba biedakom. Namnożyło się przeróżnych dygnitarzów, ale obok nich namnożyło się nieskończenie więcej ciemnych głodomorów. Pochlebiało to wielce politykom galicyjskim, że w Radzie państwa często „przeważali szalę,“ że byli „panami sytuacyi,“ że „rząd najbardziej z nimi liczyć się musiał,“ wszakże ani razu z tych rozstrzygających i wygodnych położeń nie wyciągnęli dla kraju jakiejś poważnej korzyści. Za swoje lojalizmy, ofiary usługi i pogotowia ratunkowe przywozili z Wiednia kosz okruchów i koszyczek odznaczeń — łaski. Ci wielcy mężowie stanu ciągle zbawiali Austryę, a tymczasem w Galicyi lud tracił ziemię, nie miał co jeść i gdzie się kształcić, rzeki niszczyły wylewami corocznie przesiąkłe krwią i potem niwy chłopskie, pompy podatkowe wysysały ostatnie krople sił ze społeczeństwa, Herod fiskalizmu sprawiał rzezie w przemyśle. Zdawało się uczestnikom i obrońcom tej gospodarki, że ona wiecznie trwać będzie. Otóż według wszelkiego prawdopodobieństwa nadszedł dla niej kres. Uświadomiony w swych krzywdach i prawach lud podnosi coraz głośniejszy protest i znajduje nietylko śród inteligencyi, ale także w swojem łonie nieustraszonych rzeczników, którzy nie pozwolą na to, ażeby polityka galicyjska była tylko pyszałkowską jazdą stańczykowskiego rydwanu, tratującego niemiłosiernie masy robocze. Czy p. Jaworski pozostanie prezesem, a p. Abrahamowicz członkiem Koła, czy ono utrzyma związek z Czechami, czy też dozna z ich strony wiarołomstwa, czy ten lub ów pan będzie ministrem dla Galicyi— to są sprawy bądź podrzędne, bądź przemienne i takie lub inne ich rozwiązanie nie powstrzyma procesu demokratyzacyi zasad, środków i celów polityki galicyjskiej. Koło nie będzie długo towarzystwem śpiewaków stańczykowskich, dających na swój dochód koncerty w Wiedniu, lecz musi być chórem rozmaitych żywiołów ze znaczną przewagą tych, które posiadają również przewagę w społeczeństwie. Tyranizować, wyzyskiwać, ogłupiać można tylko do czasu..

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Balon hr. Zeppelina.

Kwestya kierowania balonami oddawna przestała być mrzonką; dziś stanowi ona poważne zagadnienie techniki, które można uważać za rozstrzygnięte w połowie. Ponieważ świeże doświadczenia hr. Zeppelina na jeziorze Bodeńskiem obudziły ogólne zainteresowanie do żeglugi powietrznej, chcemy przeto dać naszym czytelnikom sprawozdanie objektywne, jak stoją sprawy odnośne.

Zaznaczymy przedewszystkiem, że w teoryi kierowanie balonem nie przedstawia żadnych szczególnych trudności.

Balon, zanurzony w oceanie powietrznym i posiadający mniej więcej ten sam ciężar gatunkowy, co i ono, może być porównywany całkiem logicznie z rybą, pływającą w wodzie; powinien on mieć, tak jak ryba, formę wrzeciona płaskiego, grubszego z przodu aniżeli z tyłu, bo taki kształt pozwala z najmniejszym wysiłkiem pruć wodę: dalej musi on zmieniać swój względny ciężar, ażeby podnosić się i opadać, co się daje uskutecznić, umieszczając w balonie mały balonik, napełniony dowolnie lub opróżniany z powietrza, niby pęcherz pławny u ryby; nakoniec statek powietrzny musi posiadać motor i narzędzia ruchu, np. śrubę, której siła wystarczyłaby do pokonania oporu powietrza i wiatrów. Doświadczenia, czynione w 1885 r. z elektrycznym balonem p. Renarda i Krebsa, wykazały, że wydłużonej formy aerostat, popychany w spokojnem powietrzu śrubą, jest posłuszny zwyczajnemu sterowi, jak statek na wodzie; pp. Renard i Krebs odbyli nawet niewielką podróż po zamkniętej krzywej, tj. powrócili do punktu wyjazdu; widzimy przeto, że gdyby w atmosferze ziemskiej panował spokój, kwestya kierowania balonami byłaby od dwudziestu lat rozwiązaną; ale ponieważ w łonie oceanu powietrznego panują szybkie stosunkowo prądy, przeto zadanie jest utrudnione. Balon musi posiadać znaczną szybkość własną, aby pokonywać wiatry, najczęściej się przytrafiające.

Jeżeli szybkość własna jest większą od szybkości prądu powietrznego, to, rzecz prosta, balon płynie przeciwko niemu; jeżeli obie szybkości są sobie równe, to znoszą się, i statek powietrzny albo stoi w miejscu, stawiając czoło wichrowi, albo leci z podwójną szybkością, zależnie od kierunku ruchu. Wreszcie przypuszczając, że szybkość balonu nie dorównywa szybkości wiatru, widzimy, że balon nie może płynąć naprzeciw tego ostatniego i cofa się w tył, usiłując go pokonać.

W pierwszym z pomiędzy trzech wypadków aerostat daje się kierować, tj. może płynąć w każdym dowolnym kierunku; ponieważ jednak średnia szybkość wiatru wynosi około 8 m. na sekundę w niższych warstwach atmosfery i w naszej strefie, przeto, chcąc kierować balonem, musimy go zbudować w ten sposób, aby posiadał szybkość własną przynajmniej 10 m. na sekundę.

Teraz, kiedy w najgłówniejszych zarysach skreśliliśmy wymagania, stawiane aeronautyce przez praktykę, przyjrzyjmy się trudnościom, stojącym na przeszkodzie do ich urzeczywistnienia. Balon Renarda w zasadzie rozstrzygnął zadanie, ale okazał się niepraktycznym. Oto co pisze jego twórca w tym przedmiocie (broszura p. t. „Piles legeres“ — „Lekkie stosy elektryczne“):

„Co się tyczy kwestyi żeglugi powietrznej, to nie może ona być rozwiązaną zadawalająco nawet przy zastosowaniu wynalezionego przez nas motoru elektrycznego i źródła prądu. Widzieliśmy, że waga naszej bateryi (cynk i platyna w mieszaninie kwasu chromnego i solnego), jakkolwiek zmniejszona do możliwych granic, wynosi jeszcze 25 kilogramów na konia parowego i godzinę. Ponieważ balon taki, jak „Francya,“ dla osiągnięcia szybkości 10 m. na sekundę, uważanej przez nas za *minimum*, niezbędnie potrzebuje siły około 40 koni parowych, przeto należałoby zabrać do łódki około 1000 klg. bateryi elektrycznej, ażeby płynąć przez jedną tylko godzinę. Nie byłoby to niemożliwem, jeżelibyśmy zmniejszyli wagę pewnych części mechanizmu. Cóż jednak znaczy godzina żeglugi z praktycznego punktu widzenia? Prawie nic. Naszem zdaniem, kierowany balon dopóty nie odda rzeczywistych usług, dopóki nie będzie w stanie pruć atmosfery z szybkością przynajmniej 10 m. na sekundę w przeciągu 10 godzin bez odnawiania zapasów. Pomimo usiłowań, znajdujemy się daleko od tego celu; należy więc na zupełnie innej drodze szukać rozwiązania kwestyi.“

Szczere wyznanie Renarda, który poświęcił tyle energii i czasu na zastosowanie elektryczności do poruszania balonów, odwróciło od tej formy energii wynalazców; po dwudziestoletnim zastoju wreszcie zwrócono uwagę na motory naftowe i benzynowe, ulepszone niesłychanie dzięki rozwojowi automobilizmu (jazdy samochodami). Rzeczywiście motory te posiadają olbrzymią przewagę nad elektrycznym, obsługiwanym w zajmującym nas wypadku ciężką bateryą; zużywają one tylko naftę lub benzynę w stosunku 400 gramów na konia i godzinę i odznaczają się dziś zadziwiającą lekkością: motor, dający siły 4—6 koni parowych, waży zaledwie 60 klg.; cylindry ochładzają się wprost otaczającem powietrzem; 100 klg. benzyny wystarcza dla podtrzymania ruchu 40-konnego motoru przez 5—6 godzin. W tych warunkach motory o wybuchających mieszaninach węglowodorów z powietrzem, doskonale odpowiadają wymaganiom żeglugi powietrznej.

Maszyna parowa uległa także radykalnym przeobrażeniom w rękach Tatina, prof. Langleya, Maksima i Adera, którzy zastosowali ją z pewnem powodzeniem do poruszania aeroplanów, t. j. maszyn latających, cięższych od powietrza. Maszyna Langleya waży około 8 kg. w stosunku konia parowego, Tatina 7, Aderowi zaś udało się zbudować motor, dający siłę jednego konia na 5 kg. wagi! Śmiało więc można twierdzić, że istnieją już dostatecznie lekkie a potężne motory, nietylko do poruszania balonów wydłużonej formy, ale nawet maszyn latających; chodzi tylko o to, żeby je zastosować z pomyślnym skutkiem do powyższych celów, co nie jest znów tak łatwem, bo obok zasadniczej trudności motoru zjawia się skomplikowana kwestya utrzymania równowagi w powietrzu.

Zobaczymy zaraz, że w ubiegłym roku zrobiono decydujący krok naprzód.

Przed trzema laty jeszcze p. Santos Dumont zastosował motorek benzynowy od trycykla do poruszania niewielkiego balonu, ale wypadek przerwał doświadczenia; statek powietrzny, źle wypełniony gazem i wadliwie zawieszony w siatce, stracił równowagę rozdarł się i spadł; sam zaś Dumont cudem chyba wyszedł cało z tej przygody.

Hr. Zeppelin lepiej od Dumonta wystudyował równowagę swego balonu i osiągnął w roku ubiegłym bardzo poważne rezultaty.

Idąc za wskazówkami swoich poprzedników, zwrócił się on także do motorów benzynowych zapożyczonych od samochodów, pragnąc atoli zmniejszyć do minimum opór powietrza, nadał aerostatowi dziesięć razy większą długość, aniżeli średnicę, oraz formę cylindra, zakończonego koniczne.

Łatwo zrozumieć, że każdemu mocno wysmukłemu balonowi grozi niebezpieczeństwo utracenia równowagi, jak to widzieliśmy w doświadczeniach Santosa. Zeppelin pragnąc zapobiedz nagromadzeniu się gazu w jednej z podniesionych przypadkowo wyżej połów aerostatu podzielił go na siedmnaście balonów mniejszych, które zamknął we wspólnej ramie, albo futerale cylindrycznym, sztywnym i zrobionym z lekkiego metalu—aluminium.

Pod balonem zawiesił dwie gondole, połączone liną drucianą, po której ślizgać się mógł ciężar, mający za zadanie przywracać naruszoną równowagę całości. W jednej z łódek ustawiono motor, działający na czteroramienne śruby; w drugiej przyrządy pomocnicze;—balast składał się z worków, napełnionych wodą i piaskiem. Długość całkowita statku powietrznego wynosiła aż 128 metrów. Ażeby nie na-

rażać olbrzyma na uszkodzenie podczas wylądowania, Zeppelin zdecydował się urządzić próby nad jeziorem Bodeńskiem, we Friedrichshafen.

Pierwsze doświadczenie odbyło się dn. 2 lipca 1900 roku w obecności zgromadzonej publiczności; zważono dokładnie balon, napełniono gazem zaczerpniętym z żelaznych flaszek i wyprowadzono z szopy; statek parowy wyciągnął go na otwarte jezioro o parę kilometrów od lądu i nad wieczorem Zeppelin, wraz z czterema towarzyszami, powoli wzniósł się w powietrze.

Podczas wzlotu balon dźwignął się nierównomiernie, z powodu nieuwagi tych, co puszczali liny, mianowicie jeden koniec znalazł się wyżej od drugiego; widząc to, Zeppelin zaczął obracać korbą, służącą do przesuwania ciężaru ruchomego po linie drucianej; niespodziewanie jednak korba się złamała i balon nie mógł odzyskać poziomego położenia. Nierównomiernie rozłożony ciężar sprawił, że futerał aluminiowy balonu zgiął się nieco, wskutek czego śruby umieszczone w gondolach utraciły równoległość swych osi względem osi balonu i ten po wprowadzeniu w ruch motoru objawiał dążność do obracania się około swego środka. Chcąc nie chcąc, przerwano próby i wypuszczono część gazu z balonów; widzowie zdziwili się, że aerostat spadał bardzo wolno, w stosunku do straty w sile wzlotu; stanowi to niezaprzeczoną zaletę wielkich balonów.

Niezrażony pierwszem niepowodzeniem Zeppelin naprawiwszy uszkodzenia, przedsięwziął w dn. 17 października drugie doświadczenie. Linę drucianą zastąpiono lekką szyną żelazną, która służyła za kładkę pomiędzy gondolami; ruchomy ciężar powiększono ze 100 do 150 kg., umieszczono także horyzontalny ster na przedniej gondoli, ulepszono rozkład balastu i sposoby opróżniania worków z wody. Ogólny ciężar zabranego balastu wynosił 1200 kg.

Nad wieczorem, podczas wiatru o szybkości 4 m. na sekundę, wypuszczono dobrze napełniony balon w powietrze, opodal od brzegu.

Tym razem okazało się, że ster wadliwie funkcyonował; obok tego zaś gaz uciekł z jednej komory, pomimo to balon znajdował się w powietrzu przez 80 minut i zdołał osiągnąć szybkość własną około 8 m. na sekundę; znaczy to, że płynął pod wiatr, wiejący z chyżością 4 m. na sek.

„Wylądowanie“ na powierzchnię jeziora odbyło się szczęśliwie, bo o drobnych wypadkach niema co wspominać.

Przed wykonaniem trzeciego doświadczenia poprawiono wentyl, wypuszczający gaz, i uproszczono ster, który też w dn. 21 października doskonale spełniał swe zadanie. Zakreślono w powietrzu dość spokojnem (wiatr 2 m. na sek.) duże łuki i aerostat poruszał się z szybkością bezwzględną 8 m. na sekundę.

Ostatnie doświadczenie można nazwać zupełnie pomyślnem; balon Zeppelina nietylko zachował równowagę w powietrzu, nietylko okazał posłuszeństwo sterowi, ale wrócił sam do brzegu.

W spokojnem powietrzu mógłby on robić 29 kilometrów na godzinę, albo nawet więcej, zapas benzyny pozwoliłby zaś podróżować przez kilka godzin.

Wynalazca gromadzi właśnie nowy kapitał akcyjny w kwocie 1200000 fr. i zamierza w dalszym ciągu prowadzić doświadczenia z pewnemi zmianami; mianowicie zrobi futerał, czy siatkę aluminiową, nieco grubszą, ażeby jej nadać większą sztywność, zabierze silniejszy motor, w celu otrzymania większej szybkości własnej. Śruby czteroramienne okazały się przydatnemi, a ster prosty najlepszym.

Zeppelin postawił wszystko na gruncie realnym; zawiązał bowiem towarzystwo akcyjne, które ma eksploatować wzięte przezeń patenty na wynalazek balonu, dającego się kierować. Pierwsze próby zachęciły snać ludzi, skoro dali znowu 1,200 tysięcy na dalsze doświadczenia.

Podług naszego zdania, droga obrana przez Zeppelina jest dobrą, jeśli idzie o balony; przy dzisiejszych motorach można dość łatwo otrzymać szybkość nie 8, a nawet 12 i 15 metrów na sekundę, zwłaszcza używając wielkich balonów, które stosunkowo do swej objętości doznają znacznie słabszego oporu ze strony powietrza, aniżeli małe. O wynikach następnych doświadczeń poinformujemy we właściwej porze naszych czytelników.

W. U.

NOTATKI NAUKOWE.

— Dr. Stanisław Kozłowski: *Co wiemy o żywieniu się ludu naszego?* Po wstępie historycznym, traktującym o położeniu naszego ludu za czasów Rzeczypospolitej, które jakkolwiek (według świadectwa Lelewela, Łukaszewicza, Maciejowskiego) było wcale niezłe, pobudziło jednak Marcina Bielskiego i Modrzewskiego do wystąpienia z żądaniem zniesienia niewoli i ucisku kmieci, dr. Kozłowski wymienia liczne od 1735 r. prywatne, a w 1794 już rządowe usiłowania poprawy losu chłopów. W dalszym ciągu zaznacza żywe zajęcie się dolą ludu przed r. 1863, które znów wzmogło się dopiero po r. 1876. Od tego też czasu rozpoczynają się, według zdania p. K., badania nad odżywianiem się ludu naszego w ścisłem tego słowa znaczeniu. Z autorów, zajmujących się wspomnianemi badaniami, przytacza Kaczkowskiego, Szczepanowskiego, Cybulskiego, których prace i obliczenia, jako oparte na danych statystyki urzędowej, uważa za niedostateczne, następnie zaznacza oparte już na objaśnieniach samego ludu, prace Konrada Pruszyńskiego, Wysokińskiego i Cybulskiego (II część), oraz pracę Zdziarskiego, a wreszcie wspomina o dokładniejszych, bo opartych na bezpośredniej obserwacyi i badaniach Chełchowskiego, Peltyna i Rutkowskiego. W drugiej części swej broszury dr. Kozłowski podaje wyniki swoich własnych badań nad wydzielaniem mocznika przez naszego chłopa w dni postne i mięsne. Ciekawe te badania wykazały, że chłop nasz na dobę wydziela w dnie postne tylko $^1/_2$, a w mięsne nieco więcej, niż połowę tej ilości mocznika, którą uczeni niemieccy uważają za średnią dla robotnika. Cyfry te mogłyby nas przestraszyć, gdyby nie to, że według autora, wprost nie znamy dokładnie fizyologii karmienia się ludu wiejskiego, spożywającego pokarmy roślinne, gdyż badania gabinetowe dotyczyły przeważnie ludności miejskiej. W trzeciej części autor z badań swoich i poprzedników, wyciąga wniosek, że w pokarmie ludu zauważyć można brak mięsa, a nadmiar wodanów węgla, co też sprowadza większą śmiertelność, niższy wzrost i niższą wagę naszego ludu, a może nawet tłomaczy jego oziębłość i brak inicyatywy, gdyż ogromną ilość energii organizm musi obracać na przyswajanie trudnostrawnych, a mało pożywnych pokarmów. W zaleceniach, zmierzających do poprawy bytu włościan, autor wskazuje pomiędzy innemi: potrzebę zakładania po wsiach szkół kucharskich, rozszerzania między ludem wiedzy agronomicznej, ogrodniczej i hodowli ryb, potrzebę zmniejszenia ilości obserwowanych przez nasz lud postów, zniesienia szachownic i wreszcie wezwania ze strony Towarzystwa hygienicznego do obywateli o zwiększenie ordynaryi dla służby i lepsze paśniki dla ich krów. Jakkolwiek jesteśmy bardzo wdzięczni dr. Kozłowskiemu za zestawienie wszystkich prac o żywieniu się ludu, a jeszcze bardziej za jego własne cenne (aczkolwiek niedostateczne, bo niezestawione z ilością zużytego pokarmu) badania nad ilością wydzielanego przez nasz lud mocznika, to jednak musimy zauważyć, że proponowane przez autora wezwanie obywateli do powiększenia dla służby ordynaryi byłoby co najwyżej głosem wołającego na puszczy. Ziemianie ordynaryę służbie powiększają, ale tylko wtenczas, kiedy ich zmuszą do tego konieczności, kiedy tego żąda niezbędnie potrzebny, a trudny do wyszukania służący.

Co do szkół kucharskich po wsiach, to sądzę, że one wkrótce by upadły wskutek braku uczenic. Lepszeby może dała rezultaty praktyczna nauka kucharstwa po dworach, gdyby znalazło się więcej chętnych do zajęcia się tą sprawą obywatelek. Z pożytecznej wreszcie pracy dr. Kozłowskiego przekonywamy się ze smutkiem, że o odżywianiu naszego ludu wiemy bardzo mało, gdyż tylko jako tako zbadano je dla służby dworskiej — szczególnie w Płockiem — niewiele zaś wiemy o odżywianiu się wyrobników, gospodarzy i włościan małorolnych, gdyż tymi ostatnimi pracowicie i sumiennie zajmował się tylko dr. Br. Peltyn i to tylko kilkunastoma gospodarzami i włościanami w Kaliskiem i w gub. Warszawskiej. Dla dokładnego poznania stanu żywienia się naszego ludu, należałoby zbadać w każdym nieomal powiecie chociażby po 30 rodzin z pośród wyrobników, służby dworskiej, małorolnych włościan (posiadających poniżej 15 morgów), włościan zamożniejszych i gospodarzy (mających co najmniej 30 morgów). Zająć by się tem mogła sekcya ludowa ruchliwego Towarzystwa hygienicznego... A może też broszura dr. Kozłowskiego zachęci którego z lekarzy nietylko do badania ilości spożywanego pokarmu, ale i do zbadania przyswajania go przez organizm naszego ludu wiejskiego. Byłaby to zapewne dla dr. Kozłowskiego najprzyjemniejsza nagroda za jego sumienną a pożyteczną pracę.

L. R.

LITERATURA I SZTUKA.

Liryka Kazimierza Glińskiego.

II.

Przeciwieństwo między marzeniem i nadzieją a rzeczywistością, autor pozwolił nam odgadnąć w jednej przynajmniej dziedzinie. W obrazku dramatycznym „Z walk życia“ znajdujemy taki egotyczny zwrot: widmo poezyi czyni wyrzuty bohaterowi, iż na pegaza wkłada jarzmo trosk codziennych. „A ja myślałem, że drogie szafiry w koronie twojej rość będą w promienie, że raz mię wwiódłszy w *mury Azzahiry*, skąpawszy w słońcu, nie każesz iść w cienie.“ Tą aluzyą do „Almanzora“, najulubieńszego dziecięcia swego, poeta widocznie utożsamił siebie w podstawowych rysach, w zasadniczej sytuacyi z poetą, występującym w „Obrazie“. I zapewne niejedna bajka, w której przymusza się do drwiącego uśmiechu, niejedna powieść nawet jest objawem konieczności pisania raczej, anizeli wewnętrznej potrzeby tworzenia. Zresztą te wymagania powszedniego życia, to tylko upostaciowanie wszystkich warunków, które krępują indywidualność ludzką, pozostawiając za sobą gorzkie poczucie, że się swych sił do lotu nie rozwinęło, że się nie osiągnęło zamierzonych czy wymarzonych celów, że nie w słonecznej krainie, lecz wśród jakichś pustkowi, nakrytych posową chmur ołowianych żywot nam upływa. A jeżeli boleśnie się nam ściska serce na myśl, iż się sen szczęścia nie wyśnił, to czyż zawsze tylko osobiste temu znaczenie przypisać mamy, czy mamy raczej brać to w znaczeniu tylko samolubnem?

Znamienny pod tym względem jest jeden z najpiękniejszych i jeden z najgłębszych wierszów Glińskiego, z którego tu dłuższy ustęp przytoczyć muszę. „Pamiętam dobrze pierwsze dni młodzieńcze, lata nauki i doświadczeń lata, chwile zachwytów, te nici pajęcze, którmi młode serce się oplata. Chciałem ramiony dźwignąć bryłę ziemi, pod stopy światu rzucić

blasków tęczę i— najsilniejszy pomiędzy silnemi, — wiążące ludzkość rozkruszyć obręcze.- Poznałem rozkosz! Usta koralowe wlewały w duszę senny czar upojeń, patrząc w kochanki oczy szafirowe, szczęśliwe serce tysiąc wiło rojeń. I przesuwały się marzenia śliczne, widzenia rajskie, mary kryształowe...“ Lecz jak od skwaru wysychają krople rosy, tęczowymi barwy lśniące, tak wsiąkły w próżnię kryształową mary szczęścia osobistego. Zamiast kwiecistych łąk, wśród których w nieskończoność rozwijała się droga ludzkości, oto przed nami piaszczysta, bezbrzeżna pustynia. Stojąc u kresu, mówi poeta, poznałem, że „początkiem moim było... co? Nie pomnę. Ostatnim kresem drogi jest... nic nie wiem! Ludzkość wyśniła marzenia ogromne, które ją palą ognistem zarzewiem: Bóg! wiekuistość!.. Sny świata wspaniałe, dzieci bez ojców, tułacze bezdomne! Zali marzeniem tylko —to, co białe, wielkością — tylko myśli nieprzytomne? Nic nic wiem... Bieli siwizna mi skronie, sto gmachów wzniosłem i drugiem sto zburzył, *o jedno więcej w niebie gwiazd nie płonie, ni o włos marny jeden dzień się zdłużył.* Nieporuszona stoi bryła świata, ni kwiatów więcej na ziemskim zagonie... Jak sen minęły godziny, dni, lata, blaski i tęcze, i barwy i wonie. Próżno wypadki dni przeżytych wiążę, darmo nad nimi czuwa myśl stróżliwa: w zamęcie pytań, jak szaleniec, krążę, rwie się nikczemnie każda nić przędziwa. Kwiaty uwiędły i wazon rozbity, przedemną stoi strachu ciemny książę. Poznałem tylko gościniec przebyty, lecz skądem przyszedł, ale dokąd dążę?..“

Jedną z bezwzględnych a widocznych zalet tych zwrotek jest ich szczerość. Nic tu niema z doktryny, nic wmówionego w siebie; to najprawdziwszy wylew uczucia, to pokazanie przez poetę głębin swej duszy, a w każdem słowie jego czuć drżenie serca, którego potrzebom nie stało się zadość, potrzebom, palącym je „ognistem zarzewiem“.

Szczególną głębokość nadaje wierszowi stopienie w jednym nastroju żywiołowego protestu jednostki, liczącej zwiędłe liście swych uniesień, z rozczarowaniem, płynącem z innych dziedzin ducha, z poczuciem niemocy w szerszych kręgach istnienia „O jedną więcej w niebie gwiazd nie płonie, ni o włos marny jeden dzień się zdłużył. Nieporuszona stoi bryła świata, ni kwiatów więcej na ziemskim zagonie.“ Jest to synteza tej kolei, którą obiegła własna myśl poety, lecz jednocześnie myśl się ta rozszerza, obejmuje wszechświat i przestaje być osobistą. To nie jednostka już, to duch powszechny ludzkości staje u kresu“, pytając z dreszczem trwogi: gdzie jestem? „Poznałem tylko gościniec przebyty, lecz skądem przyszedł? ale dokąd dążę?.. Nie jest to już tylko skarga dziecka na widok rojeń zdeptanych, nie jest to już tylko świadomość ciężaru ubiegłych lat...

Z różnorodnych pierwiastków, które składają się na nastrój przytoczonego wiersza, chciałbym obecnie zatrzymać uwagę czytelnika zwłaszcza na dwu. Mówiąc o jednym z nich, którego niepodobna chyba nazwać zwątpieniem religijnem, lecz raczej ogromną tęsknotą i niedającym się zgasić żalem, iż bezpowrotnie minęła prosta i naiwna wiara dziecięcych lat—mówiąc o tym pierwiastku, zbaczam nieco z wytkniętej sobie drogi, i dlatego chciałbym być w ustępie tym możliwie zwięzłym. Nie mogę wszelako pominąć całkiem bez wzmianki tych serdecznych, oryginalnych i głęboko przeczutych nut, które poeta umie wkładać w swoje modlitwy, w swoje zwątpienia i tęsknotę za wiarą. Wspominaliśmy przygodnie, że pieśniarz potrąca niekiedy o struny liry wioskowej. Czyni to rzadko, i może nie zawsze dość wprawną ręką, ale najpiękniejsze bodaj wydobywa z niej pieśni, kiedy w nich łączy naiwną nutę z naiwnością wyobrażeń i wiary ludu („Noc pasterzy“, „Do Betlecem“). Lecz przedewszystkiem zwrócimy uwagę na ustępy, w których poeta sięga do głębin tragiczności; a które dowodnie świadczą, iż nie chodziło mu o chłodno przygotowany efekt. „Wieki wieków biegną, o *nic* walczą, ginęli nawet dla *niczego* z błogim uśmiechem szczęścia, gdy wściekłe w kawały—lwy Nerona wyznawców tego *nic* szarpały... Ten nawet, co miał u stóp Prawdy stać w pobliżu, sam w *nic* wierzy i dla *nic* zmarł w mękach na krzyżu... *Nic* kochać, dla *nic* umrzeć!.. Szalone umysły! Zszarpać pierś dla *niczego*, aż żyły krwią trysły, o *niczem* księgi spisać...“ Czy to tylko zwątpienie religijne? Czy to w jedno *nic* wierzymy, kochamy je, pierś swą dłań szarpiemy?.. A choć głośno nas będą upominać, że to *nic*, gdy ono jest dla nas *wszystkiem*, będziemy wierzyć, kochać, krew z żył swych oddawać... Ale nie zbaczajmyż znowu; posłuchajmy raczej, jakie marzenia roi „Najświętsza“, nad Dzieciątkiem schylona... „Jest słowo w księgach Proroków, niem dzwoni Dawida psalm“, że wśród ludu wybranego spełni się wielki cud, lat tajemnica; wyśniony w snach niezliczonych zjawi się mąż, przed którym ukorzy się hardy Rzymianin, który potęgą świat zadziwi,—i świat w przedziwny uwierzy sen. „To ty, mój synu, ty! To dzieło twoje! Otoczon hołdem, czcią ziemi, Miłości i Prawdy stróż—przez życie przejdziesz róż stopy białemi!.. Czekajcie proroctwa, wierni,—o Panie, róż chwilę zbliż... Wyśnił się czarny krzyż, korona z cierni.“

(D. n.).

A. Drogoszewski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

H. Sudermann: *Sobótki*, sztuka w 4 aktach. — Poranek benefisowy Władysława Szymanowskiego.

Nie wiedzie się stanowczo warszawskiemu teatrowi Rozmaitości. Albo miesiącami całymi nic może się zdobyć na jakąkolwiek nowość, nad którą warto by było zastanowić się poważniej, albo też, przezwyciężywszy nawet nieprzeparty wstręt do rzeczy, mogących wzbudzić na scenie zajęcie żywsze, wystawia je w przekładzie, pełnym błędów językowych, i powierza główną rolę — niemal podporę sztuki całej, trzeciorzędnej aktorce, która składa może dowody pewnej pracy nad sobą, ma dobre chęci, ale, niestety, nic po za tem: ani głosu, ani ruchów, ani tej głębszej nieco inteligencyi i intuicyi artystycznej, bez których w sztuce aktorskiej obejść się bardzo trudno.

Nie idzie nam bynajmniej o jałowe dokuczanie reżyseryi, sądzimy jednak, że mielibyśmy prawo wymagać usuwania ze sztuk wystawianych takich przynajmniej dziwolągów językowych, jak zdanie, wygłaszane przez p. Horwathównę, grającą w „Sobótkach“ Sudermanna *główną* rolę Marylki: „Gdy kto za taką biedną jak ja dziewczyną biegnie do piwnicy, to ona wie mniej więcej, czego od niej *potrzebują*.“ Albo ten denerwujący wprost a powtarzający się w sztuce kilkanaście razy wyraz *sznaps* („Napijesz się sznapsa?“ „Daj mu sznapsa“ itd.), używany stale bez szczególnego jakiegoś powodu przez tłomacza, niedomyślającego się widocznie, że w języku naszym istnieje również słowo wódka. Lub wreszcie ta skandaliczna już wprost, wobec tylu uwag ze strony krytyków, nieumiejętność obchodzenia się z zaimkami dzierżawczymi („Cała obwinę się w *moje* włosy“), z którą w przekładzie „Sobótek“ spotykamy się znowu co chwila. Jeżeli scena ma być między innemi wzorową szkołą pięknego i czystego języka, to pod tym względem nasz teatr Rozmaitości spełnia może zadanie swoje, lecz stosuje przytem, jak się zdaje, odrębną metodę pedagogiczną: uczy on i wykazuje najczęściej, jak mówić i pisać nie należy. Ano, dobre chociaż i to...

Szczegółową treść nowej sztuki Sudermanna podał w *Prawdzie* przed dwoma miesiącami (Nr. 6 z r. b.) sprawozdawca z literatury niemieckiej. Odsyłając do tego artykułu czytelników, zauważyć musimy, że w dramacie tym, mającym niewątpliwie kilka scen ładnych, poetycznych, lecz wiele, zbyt wiele z pewnością, pospolitego dosyć balastu, my jakoś dopatrzeć się nie możemy szczególnej głębokości, ani wogóle zalet, któreby pozwoliły uważać „Sobótki“ za koronę twórczości dramato-pisarskiej autora „Honoru“ i „Gniazda rodzinnego“. Nie upoważnia do tego ani samo zagadnienie psychologiczne, a raczej, szczerze mówiąc, jego brak w sztuce, gdzie wszystko niemal odbywa się bez dostrzegalnej dla widza walki uczuć, ani charakterystyka postaci, nie wyrastających bynajmniej ponad miarę przeciętnie poprawnych figur teatralnych.

A jednak od pierwszych do ostatnich scen sztuka nie przestaje budzić zajęcia; jest w niej coś, co chwilami „bierze“ nawet widza. Może to tylko zręczna robota sceniczna autora, będącego dziś, jak wiadomo, jednym z najlepszych majstrów teatralnych, a może odgrywa tu pewną rolę i ten nastrój smutny, powstający w duszy na widok, jak życie okłada czasem biczem szyderstwa szczere uczucia i głębsze porywy dusz ludzkich, pozwalając im tylko wybuchnąć płomieniem nietrwałym pod ciemnym, gwiaździstym płaszczem krótkiej nocy czerwcowej; jak obowiązek, konwenans czy wprost tylko zbieg okoliczności każe zginać kark do jarzma długotrwałego lub iść w szeroki świat z goryczą i zawodem. Lecz w danym razie niepodobna robić uogólnień. Wszystko to tylko szereg zdarzeń pojedynczych, przypadkowych, a i ludzie ci przytem są jacyś dziwnie niezdecydowani i słabi, gdy zagasną przed oczyma i w duszach ognie, zapalone w noc świętojańską..

Przy odpowiedniej obsadzie i grze sztuka wywierałaby zapewne wrażenie większe. Lecz najważniejsze role trafiły tym razem niezbyt szczęśliwie. O warunkach na bohaterkę utworu aktorki, odtwarzającej postać Marylki, mówiliśmy już na wstępie. Główną rolę męzką dumnego, nieugiętego niby Jerzego von Hartwiga, mającego jednak z miłością w sercu dla niej stanąć lada chwila na ślubnym kobiercu ze swą młodziutką i, przynajmniej w grze pani Rolandowej, bardzo naiwną jeszcze kuzynką Trudą, powierzono panu Nowickiemu. Artysta ten umie niewątpliwie ładnie deklamować i może się podobać, gdy go się widzi raz lub dwa razy, nie chce jednak czy nie może zdobyć się na jakieś urozmaicenie i zindywidualizowanie w różnych rolach swej poprawnej zwykle, ale tylko poprawnej gry, przez co w końcu zanadto już uczuć się daje, że mamy wciąż do czynienia z panem Nowickim i panem Nowickim tylko w różnych przebraniach, nie zaś z postacią, którą stworzył autor, artysta zaś wcielić powinien.

Przytem drobny, ale charakterystyczny szczegół: p. Nowicki lubi, aby go słyszano, i nie chce mieć pod tym względem wątpliwości, nawet w tych scenach, gdzie krzyk w żaden sposób usprawiedliwić się nie da. Więc, dajmy na to, w kulminacyjnej scenie aktu trzeciego „Sobótek“, zakochana oddawna para spotyka się w okolicznościach, gdy na zachowaniu się cichem zależećby jej szczególnie powinno. Następuje wymiana zdań urywanych, któreby wypowiadać należało półgłosem, szeptem niemal; p. Horwath jednak, swym.

zwyczajem, zaczyna krzyczeć basem o-chrypłym, p. Nowicki zaś uważa sobie za punkt honoru być od niej głośniejszym jeszcze, a słuchacz, na widok tej czułej pary, rozmawiającej w taki sposób wśród nocy, w cudzem mieszkaniu, doznając co chwila obawy, że kochankowie rozbudzą i sprowadzą na scenę dom cały, z trudnością powstrzymuje się od poradzenia im ze swego krzesła, aby się zachowywali ciszej...

Role drugorzędne wypadły lepiej, zwłaszcza zaś gra p. Śliwickiego, odtwarzającego postać zakochanego w Marylce pastora, nic pozostawia nic do życzenia. Tu rzeczywiście widzimy nową, nieznaną przedtem osobę młodego duchownego, nie zaś p. Śliwickiego w przebraniu. Dobrym zupełnie jest również p. Ladnowski, jako despotyczny i gwałtowny nieco ziemianin Vogelreuter; w miarę melodramatyczną—p. Micińska w roli żebraczki i złodziejki, jaką była matka Marylki. Inne role nie dają artystom szczególnego pola do popisu lub były traktowane bezbarwnie.

W niedzielę ubiegłą obchodzono porankiem benefisowym trzydziestopięciolecie pracy na scenie warszawskiej p. Władysława Szymanowskiego. Odegrano kilka urywków z „Esterki“ p. St. Kozłowskiego i wystawiono z powodzeniem „Spazmy modne“ starego Wojciecha Bogusławskiego. Jubilat był przedmiotem owacyi, przyczem nie brakło wieńców i nawet, obok innych darów, znalazł się pugilares z dwiema premiówkami, a prasa codzienna poświęciła artyście i jego jubileuszowi dłuższe lub krótsze artykuły.

Wszystko to naturalne i zasłużone. P. Szymanowski jest dobrym aktorem dawnej szkoły, miał i ma dotąd pewną kategoryę ról (hipokrytów np. i świętoszków), w których był i jest doskonałym, a za długoletnią pracę dla teatru należało mu się to odznaczenie. Lecz obok pracy aktorskiej p. Sz. ma za sobą i reżyserską. Na tem ważnem stanowisku szczególnych zasług nie położył, zbyt mało dbając o podniesienie repertuaru, o urozmaicenie go dobremi sztukami oryginalnemi, o wynajdowanie i popieranie talentów nowych. Więc też uznanie należy mu się tylko, jako artyście, nie — jako ogólnemu kierownikowi sceny, którym był również przez czas dłuższy.

Wł. Bukowiński.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

CZASOPISMA. *Ateneum*, pod redakcyą Ignacego Chrzanowskiego, wykazuje w dalszym ciągu dążenie do wzbogacenia i urozmaicenia swej treści. Trzy nowe zeszyty tego miesięcznika, stanowiące pierwszy jego tom tegoroczny, przynoszą, prócz licznych sprawozdań i recenzyj, obfity plon prac poważniejszych. Z rzeczy społecznych i współczesnych wymienimy obszerną pracę p. S. Piotrowskiego o wspólnej własności ziemskiej w gminie wielkorosyjskiej. J. B. Marchlewski w rozprawie: „Postępy techniki i kwestye społeczne“ dzieli się wrażeniami, wyniesionemi z ostatniej wystawy paryskiej. St. A. Kempner rozwija obraz handlu i przemysłu w w. XIX. K. R. Żywicki w artykule p. n. „Nasi wychodźcy“ (zeszyt marcowy) zwraca uwagę na ogromne rozmiary, jakie w ostatnich czasach przybrał u nas ruch emigracyjny w celach zarobkowych, i przychodzi do wniosku, że pobyt na obczyźnie przyczynia się bardzo do zbliżenia ludzi, połączenia ich w ściślejsze gromadki i rozwinięcia solidarności wzajemnej. W tym samym zeszycie p. A. Mogilnicki w zajmującej, choć jednostronnej nieco rozprawie, ujmuje się za obrońcami kryminalnymi, przeciw którym jakoby zwracać się ma u nas opinia publiczna i stawiać ich „pod pręgierzem na równi ze sprawcami przestępstwa.“ Zgadzając się z wieloma trafnemi uwagami autora, sądzimy jednak, że w pewnych wypadkach—wręcz przeciwnie — opinia wykształconego ogółu jest pod tym względem za mało surowa dla obrońców. — W dziedzinie historyozofii p. Wacław Sobieski zdaje obszernie sprawę z toczącego się w Niemczech sporu o pojmowanie dziejów K. Lamprechta.— Z innych prac, ogłoszonych w *Ateneum*, wymienimy jeszcze szkic literacki Wł. Jabłonowskiego o mistykach i nawróconych w literaturze współczesnej, rozprawę Walerego Gostomskiego o wszechwładztwie powieści nowoczesnej, oraz obszerną pracę o Gallusie przedwcześnie zmarłego historyka, Maksymiliana Gumplowicza. W dziedzinie beletrystyki *Ateneum* drukuje dłuższą powieść p. Józefata Nowińskiego p. t. „Życie i marzenie,“ a obok niej utwory krótsze, jak „Błędne dusze“ Artura Gruszeckiego w zeszycie styczniowym lub „Aryman mści się“ Stefana Żeromskiego — w lutowym.

NA MARGINESIE.

— P. Rafael George Levy w *Revue des deux Mondes* dowodzi, że wojna transwalska silnie nadszarpnie finanse angielskie. Choć dochody państwa bardzo urosły i nawet o 225 milionów franków przewyższyły sumę przypuszczalną w budżecie na rok 1900, ale wydatki nietylko pochłonęły nadmiar, lecz zmusiły do zaciągnięcia pożyczki. W ubiegłym roku wydatki dosięgły 4 miliardów 125 milionów fran., z nich na flotę i armię wydano 2 miliardy 225 milionów fr. W październiku kanclerz skarbu upewniał, że wydatki wojenne nie przekroczą 250—275 milionów fran., a już w marcu przyznał, że będzie potrzeba co najmniej 1.100 milionów fran. Dziennie wydaje Anglia na armię transwalską zgórą 10 milionów fran. W rezultacie Anglia kilka lat temu była wierzycielką Stanów Zjednoczonych, obecnie sama musi od nich pożyczać. Autor przyznaje, że ani razu w ubiegłem stuleciu ustroje ekonomiczne Trój-jedynego Państwa nie zostały tak silnie podkopane. a więc nawet w epoce słynnych wojen Napoleona i jego polityki celnej.

— W tej samej książce, *Revue des deux Mondes*, De Vogue omawia zagadnienia kosmopolityzmu i nacyonalizmu, które według niego wstrząsają obecnie ze szczególną mocą życiem wszystkich narodów. De Vogue twierdzi, że samowiedza narodowa poczęła nabierać wyrazistości z powstaniem wielkich państw. Wojny wychowały ją i spotęgowały. Rozłam religijny w XVI wieku rozłączył na długo ludy romańskie i germańskie. Kosmopolityzm od czasów Odrodzenia w ciągu XVII i XVIII wieków utracił powoli swój obyczajowy i uczuciowy dorobek z wieków średnich. Obecnie we Francyi nacyonalizm doszedł do niezwykłego napięcia. Nawet w dziedzinie nauki i sztuki uznanie dla cudzoziemców wzbudza okrzyki oburzenia. Stąd Francuzi ganią muzykę Wagnera, nie chcą słyszeć o Browningu, Ibsenie, Nietzschem. Mimo stawiane ziomkom zarzuty, de Vogue mówi jednak, że szaleńcem jest „gospodarz, oddający klucze od swego domostwa podejrzanym gościom.“ Kosmopolityzm, według niego, zadługo gospodarował we wszystkich sferach francuskiego życia, obecny wybuch nacyonalizmu jest naturalnym wobec tego zjawiska odruchem. Przyswajanie cudzych zdobyczy cywilizacyjnych nie powinno przechodzić nigdy w niewolnicze naśladownictwo i ubóstwianie. Godność narodowa powinna stać na straży mody i obyczajów. Spółczesne wypadki przedstawiają dwa niezwykłe przykłady walki o godność narodową. W Chinach najście handlowe oraz religijne Europejczyków wywołało namiętny wybuch patryotyzmu, w Transwalu— napad Anglii, poprzedzony napływem kosmopolitycznych awanturników, popchnął Boerów do wojny, grożącej im zupełną zagładą. — De Vogue dowodzi, że budzenie się samowiedzy narodowej u najdrobniejszych nawet barbarzyńskich ludów, jak Tagalowie na Filipinach, jest znamiennym objawem doby spółczesnej i tkwi głęboko w nieznanych, tajemniczych źródliskach ludzkiego ducha.

KRONIKA.

Osobiste. P. Kazimierz Krauz (K. Radosławski), do niedawna profesor paryskiej szkoły nauk społecznych, wygłosił świeżo szereg wykładów z dziedziny monizmu ekonomicznego w nowym uniwersytecie brukselskim. Senat uniwersytecki, uznając jego prelekcye za równoznaczne z obroną tezy, przyznał mu po ukończeniu wykładów dyplom doktora nauk społecznych. Dr. K. Krauz przenosi się obecnie w celach naukowych na dłuższy pobyt do Wiednia.

Odczyt. W tygodniu ubiegłym na posiedzeniu sekcyi handlowej p. Stanisław Koszutski wygłosił odczyt o ekonomistach polskich w wieku XIX. Prelegent, poświęciwszy słów kilka Ostrorogowi, a następnie Kopernikowi, jako merkantyliście, scharakteryzował kierunki i działalność naszych ekonomistów w ciągu wieku, tudzież ich wpływ na rozbudzenie ruchu umysłowego w zakresie ekonomii politycznej. Mówił o Skarbku, Surowieckim, Danglu, następnie o statystykach Załęskim i Zakrzewskim, wreszcie o ekonomistach najmłodszych doby obecnej.

Szkoły. Rady pedagogiczne szkół trzyklasowych miejskich starają się o przekształcenie tych uczelni na sześcioklasowe i w tym celu zwróciły się do magistratu o zwiększenie dotychczasowego dla tych szkół zasiłku. Projekt ten popiera inspektor szkół m. Warszawy z uwagi na ogólne przepełnienie w zakładach naukowych.

— Ministeryum oświaty podjęło sprawę przekształcenia niższych i średnich zakładów technicznych i rozpoczęło badanie opracowanego przez władze ministeryalne projektu reformy średniego wykształcenia technicznego. Projektowane są dwa typy: Pierwszy stanowić ma szkoła z kursem 4-letnim, do której przyjmowani będą uczniowie ze świadectwami z ukończenia szkoły miejskiej; ma ona zastąpić istniejące obecnie szkoły techniczne niższe i średnie i kształcić wyłącznie w kierunku praktycznym. Drugim typem będą szkoły przemysłowo-realne, zupełnie samodzielne, z kursem 8-letnim, kształcące ogólnie i specyalne; wychowańcy szkół tego rodzaju, otrzymujący gruntowne wykształcenie techniczne i ogólne w stopniu dostatecznym, będą mogli oddać się samodzielnej działalności praktycznej, albo też zapisać się do wyższych specyalnych zakładów naukowych.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż postanowiono utworzyć drugą posadę wice-ministra oświaty; jeden z nich zajmować się będzie wyłącznie częścią naukową, drugi — administracyjną.

Dar. Zmarły w Kronsztadzie inżenier Alojzy Prosiński przekazał swoje cenne zbiory etnograficzne oraz albumy i dzieła sztuki Towarzystwa Sztuk pięknych w Królestwie Polskiem.

Zdrowie publiczne. Komitet, zajmujący się organizacyą ruchomych oddziałów okulistycznych, rozpoczął swoje czynności: Gub. Płocka i Suwalska, według doniesienia *Warsz. Dn.*, obsługiwaną będzie przez oddziały okulistyczne ruchome z Petersburga.

— Ministeryum komunikacyj na wniosek rady lekarskiej zaleciło wszystkim kolejom w Cesarstwie i Królestwie Polskiem, aby na każdy 1,000 pracowników obowiązkowo urządzony był szpital na 15 łóżek lub też zawiązana umowa ze szpitalami miejskimi albo prywatnymi, zapewniająca leczenie takiej liczbie chorych.

— Dnia 21 b. m. otworzono kąpiele ludowe imienia dr. Tytusa Chałubińskiego, przy ul. Petersburskiej na Pradze.

Koleje i komunikacye. Zarząd kolei Nadwiślańskich postanowił otworzyć szkołę dla przygotowywania telegrafistów, gdyż na wielu stacyach brak tej kategoryi pracowników.

— W sferach właściwych zwrócono uwagę na to, że koleje nie przewożą prawie wcale ryb żywych, te zaś które bywają wysyłane z dalszych stron, przybywają na miejsca przeznaczenia w stanie uszkodzonym. Wskutek tego ministeryum komunikacyj postanowiło wprowadzić na kolejach wagony specyalne do przewozu ryb żywych.

— W przyszłym miesiącu rozpoczętą będzie budowa kolei podjazdowej od stacyi kolei Dąbrow-

skiej, Miechów, do Proszowic. Głównym celem tej kolei jest ułatwienie komunikacyi cukrowniom znajdującym się w gub. Kieleckiej. Urodzajność gleby, pokłady gipsu i siarki wzdłuż nowej drogi, zyskają łatwiejszy zbyt i rozwój mało dotychczas wyzyskanych gałęzi przemysłu.

Wystawy. W salonie Krywulta otwarto wystawę prac Eugeniusza Wrzeszcza.

— W Monte-Carlo odbędzie się międzynarodowa wystawa afiszów. O nagrodzie w kwocie 2,000 fr decydować ma przez głosowanie zwiedzająca publiczność. Tylko szkice wykonane od 1 stycznia 1898 r. do 31 grudnia 1900 r. mogą się ubiegać o pierwszeństwo.

Przemysł i handel. Ogłoszono Najwyższy rozkaz o zaprowadzeniu obowiązkowego zawierania na wagę tranzakcyj na zboże, produkty młynarstwa i nasiona.

— Na naradzie austryackich właścicieli rafineryi nafty, odbytej w Wiedniu, omawiano wniosek dotyczący rozwiązania kartelu naftowego. Na 2,200 przedstawionych głosów około 1,800 oświadczyło się za rozwiązaniem — skutkiem czego kartel ustaje z dniem 1 maja r. b.

Zmarli. Emilia Kempin, dr. prawa, jedyna kobieta w Europie, która wykładała prawo na uniwersytecie. Będąc żoną pastora szwajcarskiego, dla zapewnienia bytu rodzinie, oddała się studyom prawnym, zdała egzamin doktorski i została docentką prywatną w uniwersytecie zurychskim Początkowo wykłady jej miały powodzenie, później liczba słuchaczów zmniejszyła się skutkiem konkurencyi kolegów, profesorów prawa. Porzuciła więc katedrę i udzielała porad prawnych w New-Yorku, Berlinie i innych miastach. Lecz i na tem polu nie wiodło jej się. Ciężkie koleje życia przyprawiły ją o silny rozstrój nerwowy. Zmarła w domu obłąkanych w Bazylei.

Odpowiedzi Redakcyi.

Gwieździcowi. Rękopis Pański do zwrotu.

Wyszedł z druku:

Poradnik dla samouków

CZĘŚĆ: I. Wydanie drugie, przerobione i uzupełnione.

Treść: Przedmowa. O podziale i układzie nauk, *opracował* A. Mahrburg. Matematyka, *opr.* S. Dickstein. Wstęp do nauk przyrodniczych, *opr.* S. Kramsztyk. Fizyka i mechanika, *opr.* W. Biernacki i Wł. Natanson. Chemia, *opr.* L. Marchlewski. Astronomia i meteorologia, *opr.* S. Kramsztyk. Mineralogia i Geologia, *opr* J. Morozewicz. Wskazówki do zbierania krajowych kolekcyj mineralogicznych, petrograficznych i geologicznych, *opr.* Jan Lewiński. Geografia, *opr.* And. Świętochowski. Botanika, *opr.* E. Strumpf. Zoologia, *opr.* J Eismond. Biologia ogólna, *opr.* J. Nusbaum Anatomia, *opr.* W. Świątecki. Filozofia, *opr.* A. Kuczyński. Anatomia i fizyologia układu nerwowego, *opr.* E. Flatau. Psychologia, *opr.* A. Mahrburg. Antropologia, *opr.* L Krzywicki. Historya medycyny, *opr* Wł. Biegański i J. Peszke. Hygiena, *opr.* O. Bujwid i N, Kostanecki. Dopełnienia bibliograficzne. Skorowidz. Pytania czytelników i odpowiedzi redakcyi.

Warszawa, 1901. Str. 728+XLII.

Cena 1 rub., z przesyłką pocztową w opasce rekomend. 1 r. 50 kop.

Do nabycia w Administracyi Prawdy książka prof. ***Jerzego Jellinka***

Prawo mniejszości,

przekład ***S. Posnera****, z przedmową* ***A. Świętochowskiego.***

Cena 20 kop. z przesyłką 30 kop.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Апрѣля 1901 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.